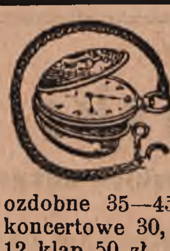
Numer 5 Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 29 Stycznia 1928**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE







Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola" przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Kalendarze już wyczerpane.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Ojcowska przestroga.

Ojciec mówi do czterech córek:

—Teraz, moje dziewczęta, czas już chyba najwyższy, abyście wyszukały sobie mężów.

A do trzech synów: Co do was, to mam nadzieję, iż żaden głupstwa nie palnie i nie ożeni się.



Niemiła wizyta.

Dozorca więzienny:

— Chodź pan do rozmównicy! Żona pańska przyszła.

— Ach, proszę pana, racz pan powiedzieć, że mnie niema w domu.



Dowód.

— Co było w szkole, Jasiu? Czyś powiedział, że nie mogłeś przyjść z powodu, żeśmy zabili prosiaka?

— Tak, mamo! Ale nauczyciel kazał mi przynieść dowód. Inaczej nie uwzględni, bez tego ani rusz!

Zagadka.

Pani Kinderkiewicz jedzie koleją z pięcioletnim Izydorkiem i czteroletnim Moryckiem.

— Mamusiu — pyta Izydorek — jak się nazywa stacja, którą przejechaliśmy.

— Nie wiem. Siedź cicho, smarkaczu, czy nie widzisz, że rozwiązuję zagadkę.

— Szkoda, że nie wiesz, bo Morycek tam wysiadł.



Biedactwa.

Ojciec: — Kto siedział na tej świeżo malowanej ławce w ogrodzie?

Jagusia: — Wicek i ja.

Ojciec: Biedactwa! Musieliście sobie oboje porządnie zniszczyć odzież.

Jagusia: — Dlaczego oboje? Tylko Wicek.



Na wsi.

— Słuchajta, matko, biorę Kasię za żonę, ale mi musiała kupić harmonję.

— A to ci na co?

— Bo ksiądz proboszcz powiedział, że w małżeńskim sakramencie harmonja to grunt.

Numer 5. XI. Rok Kraków, dnia 29 Stycznia 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Matka Boska Gromniczna.

Jak wiadomo, dnia 2 lutego przypada święto Oczyszczenia Najświętszej Marji Panny, a od poświęcania w dniu tym gromnic zwanej także Gromniczną. Jak wielu świętom katolickim tak i temu dało początek pośredni pogaństwo. Pogański bowiem Rzym obchodził w lutym dwa lub trzy dni na cześć bożka pasterzy zwanego Panem. Wówczas kapłani, którzy byli poświęceni służbie tego bożka szli do świątyni zbudowanej na jego cześć, gdzie zabijali białe kozy jemu na ofiarę. Kozy te obdzierali ze skóry, robiąc z niej wąskie paski, z którymi w ręku przebiegali miasto i uderzali nimi napotkanych przechodniów. Pomimo, że już pogaństwo znikło z Rzymu, a lud tamtejszy przyjął wiarę chrześcijańską, Rzymianie nie chcieli zapomnieć o dawnym zwyczaju na cześć pogańskiego bożka, uważając go niejako za obchód narodowy. Kościół katolicki oczywiście niechętnem okiem patrzył na te pogańskie zwyczaje i starał się je znieść, ale to nie było łatwo. Dopiero około roku 500 Ojciec święty Salezy ustanowił w tym celu święto Oczyszczenia Najświętszej Marji Panny, aby prawdziwą uroczystość przeciwstawić brudnym uciechom pogańskim. W kilka lat później wprowadzono uroczystość tę w Konstantynopolu, a stamtąd rozszerzyła się ona po całym świecie.

Również poświęcanie gromnic w dniu uroczystości Oczyszczenia N. M. P. ma swój początek w pogaństwie. A mianowicie Rzymianie, zdobywszy niemal świat cały, co pięć lat robili spis ludności i ściągali podatki. A gdy je zebrali, wówczas na podziękowanie bogom, w miesiącu lutym, urządzali hałaśliwe pochody z pochodniami przez miasto. Papieże znieśli ten zwyczaj, zaprowadzając inny. Oto dnia 2 lutego kapłani katoliccy wraz z ludem odbywali po ulicach wspaniałą procesję, wśród której święcono tysiące pochodni, a olbrzymie rzesze wiernych śpiewały nabożne pieśni na cześć Najświętszej Marji Panny. Tak, jak poprzedni, i ten zwyczaj rozszedł się po całym świecie i do dziś dnia się przechował.

Piękny to i chwalebny zwyczaj! Jakże wspaniale wygląda w dniu tym przybytek Pański. Oto setki wiernych klęczy pobożnie przed ołtarzem Pana nad Pany, chyląc kornie głowy ku ziemi, a ponad nimi migają jasne płomyki, jak gdyby z ciał pochylonych szły modły ku niebu. Płomienie migają, a z ich ruchami wychodzą z ust pobożnych pokorne prośby ku Tej, która sama będąc Najczystszą, żądała oczyszczenia — wychodzą prośby, aby Najświętsza Panienka uprosiła ludowi oczyszczenie z wszystkich grzechów, popełnionych w chwili zapomnienia się.

Pierwotne pochodnie zastąpiono z czasem świecami i to najcenniejszemi jakie wogóle są, bo sporządzonemi z najczyściejszego wosku pszczelnego, zwane gromnicami. Następnie świece te poświęcano, a poświęcone błogosławieństwa nie tracą, dopóki nie spłoną zupełnie. Dlatego dają je też do rąk konającym, aby błogosławieństwo, jakie one posiadają, spływało na tych, którzy może za parę chwil mają się przenieść do wieczności.

Przy poświęcaniu gromnic odmawiają kapłani specjalne modlitwy, w których proszą Boga, aby swą nauką i łaską oświecił umysł ludzki, a miłością serca ich zapalił, by szatan ze wszystkich miejsc, kędy będą zapalone, uciekał. Gromnica w ręku konającego ma nam przypominać, że z gorejącą lampką dobrych uczynków powinien oczekiwać na przyjście Zbawiciela.

Zapalają też gromnice w czasie silnej burzy, aby łaska Boska chroniła ludzi i ich przybytek od jakiego nieszczęścia.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Było to pod Jeną...

(Opowiadanie legjonisty).

XIX.

Ale już zgoła zbyteczną była obawa, by silniejszy nieprzyjaciel mógł napaść na nasz wysunięty korpusik. Ubrałem się tedy w nowy mudur , a gdy pułk siadł na koń, stanąłem obok pułkownika Konopki, który mi winszował pochwycenia Millera i zapewnił, że raport poszedł już do jenerała dywizji, że zapewne znów będę ogłoszony w rozkazie dziennym i otrzymam nagrodę.

Pułk nasz stał na lewem skrzydle, uszykowany w kolumny szwadronowe i z niecierpliwością oczekiwaliśmy ukazania się wielkiego wodza, zwycięzcy w tylu bitwach, nieomal pana Europy, największego bohatera świata. Widocznie w miarę posuwania się Napoleona, dywizje i pułki witały go muzyką i grzmiącą salwą radosnych okrzyków.

Nakoniec przypadł do nas adjutant od brygadjera i krzyknął po francusku:

— Cesarz jedzie! Pułkowniku, każ muzyce grać i gdy się cesarz ukaże, prezentuj broń.

Jakoż niebawem ujrzeliśmy tego wielkiego wodza. Pułkownik dał znak ręką muzyce i zakomenderował:

— Baczność, oczy w prawo! prezentuj broń!

Furknęły chorągiewki u lanc, chwyconych w prawą rękę, a muzyka pułkowa zagrała naszego kochanego mazurka...

Chwila była niezmiernie uroczysta. Staliśmy w obliczu nieprzyjaciela, może o pół mili od niego oddaleni, a choć mgła zakrywała nam jego widok, jednakże od czasu do czasu, gdy wiatr rozerwał pojedyncze jej kłęby, widzieliśmy olbrzymie masy ludzi, dział, koni... Przed nami, wolnym stępem jechał cesarz, ów cesarz, którego czoło zdobiły takie laury, jak Marengo, Piramidy, Ulm i tyle innych zwycięstw. Jechał, patrzał swym przenikliwym wzrokiem i, uchyliwszy kapelusza przed naszym sztandarem z białą oznaką na karmazynie, wyrzekł głośno po francusku:

— Witam was, lansjerzy!

Na te słowa cały pułk zatrząsł się, jakby przebiegła przezeń iskra elektryczna, lance zachwiały się i ogromny okrzyk, z tysiąca piersi wyrzucony: „Vive l'empereur!“ zagrzmiał potężnie. A muzyka nasza grała wciąż mazurka...

Oczywista rzecz, przybycie cesarza dowodziło, że walna, wielka bitwa zaraz nastąpi. Jakoż przez ten dzień w całej armji panowało ogromne ożywienie. Pułki piechoty zajmowały różne pozycje, dla dział sypano baterje, wciągano ciężkie armaty na płaskowzgórze, naszą brygadę przesunięto na lewe skrzydło i ustawiono eszelonami na szerokiej płaszczyźnie. Jeszcze przed wieczorem przyłączyły się do nas znane nam dwa pułki huzarów francuskich, a o zmroku przybyła mocno zmęczona marszem dywizja kirasjerów, w hełmach z końskimi ogonami i w złocistych pancerzach. Było nas zatem ogółem dwie dywizje jazdy, jakieś może ośm tysięcy koni, co wszyscy uważali za niedostateczne i dziwili się, że cesarz z taką garstką kawalerji chce staczać bitwę. Ale te wszystkie rozprawy nasze Skalski zakończył słowami:

— Co wy tam rozprawiacie! Cesarz wie co robi i on ma więcej rozumu w pięcie, niż wy we wszystkich waszych głowach kapuścianych. Idźcie lepiej spać, bo bitwa z pewnością o świcie się rozpocznie.

Nikt się na tę uwagę nie obraził, bo Skalskiego lubiono bardzo i uważano, że ma słuszność, a że przytem dobrze radził, więc każdy, owinąwszy się płaszczem, legł na ziemi przy swym koniu i niebawem rozległo się w całym pułku tylko chrapanie ludzi i zwierząt, i okrzyki placówek lub stąpanie rontów nocnych. Co do mnie, znużony tylu wypadkami tego dnia, tak pamiętnego w mem życiu, spałem całą noc snem kamiennym. Obudziłem się dopiero na głos pobudki porannej.

Ledwie sobie omyłem twarz i ręce w wodzie, przyniesionej przez Grzesia, gdy rozległy się trąbki, by siadać na koń. Niebawem adjutant jenerała Lasalle odczytał pułkowi odezwę cesarza po francusku, której, oczywiście, nasze Maćki nie rozumieli, a na tłomaczenie czasu nie było, bo już gdzieś tam na prawem skrzydle zagrzmiały strzały karabinowe, a niebawem ryknęły działa.

Rozpoczęła się sławna po wsze czasy bitwa pod Jeną. Było to dnia 14 października, w dzień św. Kaliksta, imieniny mego dziada, dawno już nieżyjącego, który to dzień zawsze w naszym domu uroczyście obchodzono.

Prusacy przez noc zajęli lasek, w którym wczoraj stałem na grangardzie i w którym schwytałem Millera, a ponieważ gaj ten był, rzec można kluczem pozycji i armja francuska ani na krok naprzód posunąć się nie mogła, ani rozwinąć należycie, więc najprzód o ten lasek zawrzała bitwa. Marszałek Soult na czele swego korpusu począł najprzód piekielnym ogniem prażyć ukrytych poza drzewami Prusaków, a potem ruszył do szturmu. Stąd, gdzie nasza brygada stała, widać było, jak piechota francuska biegła w kolumnach długich i gęstych, z pochylonymi bagnetami, jak wpadła do lasku i niebawem wyrzucona zeń została w nieładzie. Mgła, pokrywająca rano wszystkie przedmioty, rozeszła się zupełnie i jasne słońce jesienne ukazało nam w całej grozie ogromną armję pruską, rozwiniętą na wzgórzach naprzeciwko i straszny bój o ów lasek.

Po dwugodzinnej, krwawej zapewne walce, przy obustronnem wzmocnieniu potykających się, lasek ów nakoniec został zdobyty przez Francuzów, a wtedy bitwa stała się powszechną. Trzysta przeszło dział z obu stron pruło pociskami pole bitwy, przeszło trzykroć sto tysięcy ludzi biło się ze sobą. Był to istny obraz piekła!

My jazda, stojąc na krańcowem skrzydle, wcale udziału w tym zażartym boju nie braliśmy, bo najprzód było nas mało, a potem naprawdę nie było odpowiedniej dla kawalerji czynności. Zato ponosiliśmy dość bolesne straty od pocisków pruskich, które od czasu do czasu wpadały w ściśnięte nasze kolumny i robiły szczerby. Wtedy rotmistrze, stojący na czele swych szwadronów, obojętnie komenderowali:

— Szlusuj!

Szeregi się ściskały i wszystko było po dawnemu. Przyznaję się, że takie bezczynne, milczące stanie pod ciągłą zamiecią kul nie należały do przyjemności, i widziałem, że starzy nawet żołnierze kręcili się niespokojnie na kulbakach, a konie żuły wędzidła, chrapały i grzebały nogami ziemię. Zrozumiałem teraz, dlaczego to „dla kurażu“ sięgano do manierek. I ja to samo robiłem, a miałem dzięki staranności Grzesia pyszną „goldwasser“ ze złotemi nitkami w mojej manierce i kilka razy przechylałem ją, aż wypiłem doszczętnie.

Na szczęście bitwa zmieniła już wygląd. Armja francuska posunęła się znacznie naprzód, wdarła się na wzgórza i zmusiła Prusaków do powolnego cofania się, dzięki czemu kule ich nie sięgały już nas wcale. Mogła być godzina 10-ta rano, gdy zwycięstwo stanowczo przechylać się poczęło na naszą stronę.

Wtedy przed nami zjawił się marszałek Murat. Całe ośm tysięcy koni zerwało się naraz i kłusem pędziło za Muratem, który na dzielnym koniu, z gołą szablą w garści, w szczupakach sadził przed nami, migotając pod słońce swą szabelką. Myśmy szli pierwsi, za nami dragoni bawarscy. Po lewej naszej z hukiem i dudnieniem walił pułk kirasjerów, a za nimi brygada huzarów. Z miejsca, na którem dotąd staliśmy, niepodobna było widzieć przebiegu bitwy, gdyż z chwilą, gdy Francuzi zdobyli lasek, a potem zrzucili Prusaków ze wzgórzy, które ich armja dotąd zajmowała, wzgórza te zakryły nam zupełnie pobojowisko. Nie wiedzieliśmy zgoła, jaki jest stan bitwy i z kim, czy z piechotą, czy z jazdą bić się będziemy, czy też może po dawnemu pójdziemy na armaty...

Ale kiedyśmy nakoniec za cwałującym ciągle na przedzie Muratem wypadli na wzgórza i rzucili okiem na plac boju, odrazu zrozumieliśmy, po co nas tu przyprowadzono. Cała prawie armja pruska w strasznym nieładzie i zamieszaniu cofała się a raczej uciekała i dla zasłony tego odwrotu występowała naprzód jazda pruska, gotująca się do szeregu rozpaczliwych szarż na bataljony francuskie. Kiedyśmy wyciągniętym kłusem przybiegli na pobojowisko, właśnie jeden z takich bataljonów, w czworobok sformowany, uparcie się bronił przeciw masie zalewającej go zewsząd jazdy pruskiej.

Jazdy tej długie, ciemne masy co chwila ukazywały się z poza dymu armatniego i, o ile sądzić mogłem, trzy razy było jej więcej, niż nas wszystkich razem. To też myślałem sobie:

— Gorąca tu będzie przeprawa!

Ale Murat nie dał nam czekać i zastanawiać się. Adjutanci jego przynieśli rozkazy całej naszej dywizji.

— Uderzyć i stratować wszystko, co napotkamy na drodze!

Więc pułkownik Konopka pokręcił wąsa, czapkę zasadził na bakier i, dobywszy szabli, błysnął nią do góry i krzyknął:

— Szwadronami za mną, cwałem!

Rozległy się trąbki na znaną nutę do szarży, lance się pochyliły i lecimy co koń wyskoczy, a po lewej naszej ze strasznym chrzęstem i brzękiem pędzą ciężkie kirasjery.

— No — mówiłem sobie — ci samym ciężarem swoim i koni rozbiją wszystko przed sobą.

W rzeczy samej starcie było potężne. Środek ich linji, dłuższej znacznie od naszej, bo pędzili uformowani w dywizjon, lancami naszemi rozbiliśmy na wióry, ale skrzydła nas opadły z boku i rozpoczęła się dość częsta w tej wojnie, ilekroć przyszło do starcia z jazdą pruską, rycerska gonitwa na ostre, gdzie już w roproszeniu pojedyncza waleczność i zręczność w robieniu bronią wszystko stanowiła. Otóż i ja, zwaliwszy jednem cięciem szabli dragona, z którym się zetknąłem w szarży, wypadłem poza ich linję i, zatrzymawszy nakoniec rozpędzonego konia, zawróciłem, by wziąć udział w dalszej walce. Mój młyniec konfederacki i tym razem pokazał swą wysoką wartość. Dwom dragonom, którzy mię napadli, wytrąciłem ich szable z ręki i obu cięciem na odlew powaliłem na ziemię. Dumny ze zwycięstwa, rozogniony walką, trzymając krótko konia, wolnym kursgalonem jechałem ku swoim ułanom, gdy nagle widzę sadzi na mnie z podniesioną szablą oficer dragoński, bo srebrne szlify błyszczą mu zdala.

Spojrzę na jego twarz i skamieniałem ze zdziwienia i trwogi zabobonnej. Tak, to on! to pan von Hiller, rotmistrz dragoński, którego zabiłem w pojedynku tam, pod Warszawą, w lasku Grochowskim — a raczej nie on, ale jego widmo, cień powstały z grobu, by tutaj, na tem krwawem pobojowisku pomścić swoją śmierć. I rzecz dziwna, tak byłem przekonany, że widzę przed sobą marę pozagrobową, że nawet uczułem zapach zgnilizny i chłód jakiś trupi od pędzącego na mnie Hillera. Na dobitkę koń pode mną zaczął drżeć, jak w febrze, rżeć i chrapać złowrogo, a przytem stanął i ruszyć się nie dał, jakby zdrętwiał. Wszystko to oddziałało tak na mnie, że siedziałem nieruchomy, dygoczący z przestrachu, z szablą opuszczoną, z oczyma zapewne okropnie rozszerzonemi i wpatrzonemi w zbliżające się ku mnie widmo...

A wtem Hiller głosem, który mi się wydawał grobowym, zawołał po francusku:

— A! pan von Rudnicki! Nie spodziewałem się pana tu spotkać, ale skoro los tak chciał, tem lepiej mi będzie załatwić z panem dawny rachunek. Raz się panu udało, ale teraz się nie uda. Broń się pan!

I rzucił się ku mnie z podniesioną szablą, z oczyma obwiedzionemi siną obwódką trupiego rozkładu, jak mi się zdawało, płonącemi jakimś nieziemskim ogniem. Raczej instynktownie, niż siłą woli, zasłoniłem się pałaszem od wymierzonego na mnie cięcia, ale tak niezręcznie i słabo, że ciężki, prosty rapir Hillera spadł z ogromną mocą na moją głowę. Runąłem z konia, tracąc odrazu przytomność, i już nie wiem, co się ze mną działo...

Obudziłem się z ciężkim bólem głowy i, rozglądając się dokoła, zrozumiałem, że leżę w lazarecie, w dużej sali, przez której okna mdłe światło się przedostawało. Naprzeciw mnie widać było dach jakichś zabudowań, pokryty grubą warstwą śniegu. W sali było jeszcze kilka łóżek, a na nich leżeli jacyś ludzie i głuche, żałośliwe ich jęki rozlegały się wśród sennej ciszy, panującej dokoła. Gdym się zaczął kręcić i, dotknąwszy głowy, mocno obandażowanej, mimowoli z bólu krzyknąłem, zjawił się jakiś młody człowiek w mundurze lekarza wojskowego francuskiego i rzekł do mnie w tymże języku:

— A! odzyskałeś przytomność. No! tem lepiej, będziesz zdrów. Ale leż pan spokojnie i nic nie mów.

Dowiedziałem się później, że leżałem w lazarecie wojskowym w Jenie, że po rozbiciu zupełnem armji pruskiej poczciwy Grześ wyszukał moje ciało na pobojowisku, że uczuwszy jeszcze bicie mego serca, przeniósł mię do lazaretu i odtąd nie odstępował ani na chwilę. Leżałem tak od kilku tygodni i leżeć jeszcze miałem całe pół roku, nim ostatecznie przyszedłem do siebie. Nie brałem więc udziału w dalszym tryumfalnym pochodzie armji francuskiej, w zniesieniu państwa pruskiego w utworzeniu Księstwa Warszawskiego, w tylu tryumfach, radościach i nadziejach...

Długo nie byłem pewny, czy pod Jeną porąbał mię żywy Hiller, czy też jego widmo. Dopiero w parę lat później, spotkawszy się z poczciwym Frankiem Tulińskim w Hiszpanji, dowiedziałem się, że w pojedynku wcale nie zabiłem Hillera, tylko go dość lekko postrzeliłem. Nie widmo więc, ale żywy rotmistrz pruski porąbał mię pod Jeną, dzięki memu szczególnemu osłupieniu i niemądrej wierze w pojawianie się duchów.

KONIEC.



Wyrobnik.

Nieprzejrzana równina pokryta białym puchem śnieżnego całunu... nad nią w bezbrzeżnych przestworzach zamieć igieł lodowych, co w ich kryształach migoce promień księżyca, bladą uwieńczonego koroną.

Przyrodzenie wydaje się zwycięsko piękne w tem zlodowaceniu!

Ostry podmuch mrozu ubezwładnił naturę, porwał wszystko w bezlitosny uścisk martwoty... oniemienie przyrody przeraża jakoś duszę...

— —

Zima okropna, straszna straszna zima!

Naokół, jak wzrok sięgnie biało i biało. Zniknęły wzgórza, parowy, rzeki, stawy i drogi, wszędzie równo i biało, wszędzie śnieg i lód. Miękki, jak puch lekki i biały śnieg pada ciągle, nieustannie, a gęste chmury tak nisko nad ziemią płyną, że nieraz się zdaje, iż to one spadając, pokrywają ziemię.

Ten całun biały, taki niewinny kolorem, grobowego całunu czyni wrażenie, pod którym trup leży cicho, spokojnie i nigdy już zbudzić się niema.

Tak, zamarzło wszelkie życie w naturze; niema śladu, gdzie zasiane było zboże w jesieni, gdzie łąki roztaczały wzorzysty kobierzec kwiatów, a drzewa tak smutnie wyglądają, jakby nigdy już odrodzić się nie miały.

Człowieka nie widać na białem przestworzu. Skulony, zziębnięty i łzawy, siedzi zasypany zawieją w zimnej chacie, czekając zmiłowania Bożego... Rozum dany przez Najwyższego ludzkiej istocie, ochrania ją od rozpaczy, żywi nadzieją, „Kiedyś to przecie skończyć się musi!“ szepczą niejedni z rezygnacją.

I ten śnieg, ta zima trwa już czwarty miesiąc!

Biedny wyrobnik w chacie za wsią pod lasem, któremu każdy dzień bez roboty nędzą grozi lub śmiercią głodową, ostatni sprzęt z izby do ognia dorzuca, chroniąc dzieci od zimna i pociesza się także nadzieją, że każda zima skończyć się musi...

Jednak nie kończy się! palić już niema co, chyba chatę rozebrać przyjdzie, a co strawy, to już całkiem zabrakło. Ostatni raz dzisiaj z reszty mąki wraz z otrębami zamiszkę zrobiono; krowa mleko straciła, choć ją do chałupy zabrano, by nie zamarzła w stajence, gdzie wiatr co nocy śniegu po pas przez szczeliny namiecie. Jutro Marcin wraz z żoną stajenkę rozbierze i drzewem z niej palić będą dni kilka. Jeść niema co... no, to przeposzczą jeszcze dzień, dwa! u biednych ludzi to nie dziwota. Dla dwojga dzieci Marcinowa znajdzie jeszcze parę orzechów i bukwi, a oni sami mają jeszcze szyszki jodłowe... czasem i to wystarczy.

Żeby tylko ten śnieg przestał padać!

Upłynęło znowu dni parę.

Drzewa ze stajenki jeszcze trochę zostało, ale jeść już niema... Marcin zadumał się smutnie, dzieci cicho płakały, a matka snuje się jak cień po izbie, szukając czy niema gdzie jeszcze jakich okruchów... Biedna stara krowina zjadła już wszystko siano i słomę z barłogu, stoi patrząc żałosnem okiem na gospodarzy i beczy...

Marcin wyjrzał posępnie na dwór i nagle z rozjaśnioną twarzą wrócił do chaty.

— Zadymka ustała — rzekł do żony. — Pójdę do dworu, ta może nam dziedzic pomoże. Odrobię na wiosnę...

Pożegnał swoich; markotno mu było jakoś opuszczając chatę, ale poszedł.

Droga była niedaleka, dwór widniał może o jakie pół mili, ale ciężko było dostać się doń. Silny, barczysty chłop, uzbrojony w kij wysoki zapadał co chwila po pas, wydobywał się z trudem i dalej borykał się ze śniegiem. Gdy po kilku godzinach znalazł się u wrót dworu, pot oblewał go rzęsisty, a drżał cały od wysileń jakie czynił, walcząc z zaspami śniegu.

Pan był dobroczynnym. Choć sam odcięty od świata wałami śniegu i także mający nie wiele, podzielił się resztkami z biedniejszym od siebie. Marcinowi oczy się śmiały na widok mąki, słoniny i chleba, które mu w torbę dla rodziny pakowano. Wypił kielich wódki, zakąsił chlebem i zabrał się do powrotu pokrzepiony pożywieniem i uciechą, że oni tam jeść będą co mieli...

Dziedzic chciał go przez noc zatrzymać. Zadymka zaczynała się znowu, wieczór był blisko... Marcin nie dojdzie za dnia do chaty; zmęczony był, a w nocy wilki mogły go napaść.

Daremnie! Marcin nie mógł ich przez noc w niepewności i głodzie zostawić; musiał iść!... Z zawieszoną przez plecy pełną sakwą, z otuloną w opończę twarzą, z kosturem w dłoni, puścił się odważny wyrobnik w drogę.

Zawierucha rozpoczęła się znowu. Płatki śniegu igrały swobodnie w powietrzu jakby pląsając w zabawie; z początku śnieg padał cicho, ale wiatr zerwał się straszniejszy niż wczoraj. Burza mścić się zdawała nad śmiałkiem, który odważył się stawić jej czoło, i miotała nim tak, jakby go znicestwić chciała.

Marcin szedł zwolna, odmawiając pacierze, a wiatr urywał z ust słowa i rozwiewał po polu, jakby pragnąc, by odgłos ich nie doszedł do tronu Najwyższego.

Nagle światełko jakieś zabłysło przed nim jaskrawo w oddali. Światełko migając, zamieniło się raptem w płomień czerwony, który to przygasał, to snopem iskier wraz z podmuchem wiatru buchał ku niebu. Na szarem tle nieba łuna zapłonęła krwawo, lśniąc brylantami po śniegu.

— Pali się... szepnął biedak wysilony, bezprzytomny prawie i znowu brnął w śniegu dalej i dalej, myląc drogę, wracając po kilka razy na to samo miejsce, nie świadomy niczego, tylko, że mu trzeba iść naprzód, wyrwać się z tej białej pustyni, która ogarniała go coraz więcej.

Kostur wysunął się z zesztywniałej dłoni, darmo Marcin schylony szukał go po śniegu... ten śnieg tak mroczy, tak zimny!

Ciemno w około, tylko ten płomień błyska od czasu do czasu... pali się: gdzie to się pali? Biedak ani przypuszczał, że to jego chata, jego rodzina stanęła w ogniu...

Ostatnie blaski dogasającego w śnieżnym kraterze pożaru oświecają twarz bladą i gorączką zapalone oczy człowieka, pasującego się ze śmiercią...

Za chwilę, ciemno i cicho; nie słychać już ani oddechu Marcina.

Ogień strzelił raz jeszcze do góry, a snop iskier rozspyał się po białym śniegu w około i zasypał wszystko...

Franciszek Lewandowski.

MOJA WIOSKA RODZINNA.



Wzdłuż drogi ciągną się chatynki szeregiem, w lecie w zieleń przybrane, zimą ubielone śniegiem, a w nich mieszka lud dobry, pobożny i cichy, szczęśliw, że ma domek swój własny, choć skromny i lichy. Jeden tylko jest większy przybytek wśród wioski, w którym człek po pracy spowiada swe troski, w którym ludzie z pokorą padają na twarze i nędzę swą składają przed Pańskie ołtarze. Tam codziennie zbiera się gromada uboga i swe serca w pokorze podnosi do Boga, a w serdecznej modlitwie, pomówiwszy z Bogiem, wraca pod dach rodzinny w ukojeniu błogiem. I choć mróz na dworze ludzkie twarze szczypie, choć śnieg zimą na polu bez ustanku sypie, choć wichry gną i łamią silnych drzew konary, mój domek stoji nietknięty, choć skromny i stary. Dziesiątki lat już stoji domek mój kochany; nie zmogą go zawieje i wichrów orkany, nie przemrozi go mróz silny, co zimą szaleje, bo miłość go rodzinna w czas zimowy grzeje. Jest on dla nas przytulną ostoją wśród zimy, jak sieroty co roku w nim się my tulimy, a on nas przygarnia i tuli do siebie, że lepiej nam nie będzie, chyba nawet w niebie.

O domku mój rodzinny, ty skarbie pamiątek! znam ja i kocham każdy twój zakątek! O wiosko ma rodzinna, ty szczęścia krynico, ty radości mej w życiu bezcenna skarbnico, cichutka i mała, tyś mi droższą nad wszystko, boś mi szczęście dała.

Antoni Socha.

Zaklęta karczma.

Prawdziwie piękne są legendy i baśnie, które opowiadają sobie ludzie po wsiach przy kądzieli, w zimowe wieczory.

Baśnie te, z zamierzchłych wieków pochodzące zachowuje lud gorliwie w pamięci i przechodzą one tradycyjnie z pokolenia na pokolenie. Chociaż są owiane prostotą, myśl jednak jest szczera i budująca. Aby odwieść czeladź od włóczenia się po nocach, prawi stary gazda o strachach, topielcach, upiorach, a prawi z takiem namaszczeniem, że aż włosy stają dęba na głowie.

Baśni tych jest mnóstwo między ludem, a najwięcej między ludem mieszkającym w zapadłych połaciach kraju, gdzie jeszcze nie dosięgnął promień prawdziwej oświaty. Jedną właśnie z takich baśni, którą słyszałem, będąc dzieckiem, chcę opowiedzieć.

W zapadłym zakątku wsi, w przysiółku „Ryczak", przy drodze pod lasem, stało stare ogromne karczmisko z sienią zajezdną, z podsieniami, w stylu staropolskim zbudowane. Nad drzwiami widniał napis „Zajazd pod czerwoną wroną". Karczma ta miała dwie izby, jedną ogromną, w której odbywała się sprzedaż wódki i służyła jako sala dla tańczących tu wesel i do wszelkiego rodzaju zabaw, druga zaś mniejsza, służyła jako pokój gościnny dla starszych i poważniejszych gazdów. Było to jeszcze za czasów pańszczyźnianych w epoce panowania „Sasów". Wódka naówczas była bardzo tania, bo kwarta śmierdziuchy kosztowała podobno aż 4 centy. To też gazdy bez przerwy przesiadywali w karczmie nawet po 3 dni nie pokazywali się w domu, a nawet nocowali w karczmie i doszło do tego, że gosposie posyłały im nawet jedzenie do karczmy. Karczmę tę dzierżawił u dworu żyd Ślama, a że był porządny i kredytu nie skąpił, miał ciągle całą masę gości, zwłaszcza w czas zapustów, gdy zabawy i tańce odbywały się tam codziennie, to też pijaństwo uprawiano nałogowo.

Nie pomogły kazania i nawoływania ówczesnego proboszcza do poprawy, orgje pijackie trwały dalej i byłby może niejeden gazda, przetrwoniwszy majątek w karczmie, powędrował za kawałkiem chleba o żebraczym kiju, gdyby nie zrządzenie Boskie.

Właśnie w karczmie tańczyło wesele, gdy tamtędy przejeżdżał ksiądz z ostatnią pociechą do chorego. Rozbawieni goście weselni, upojeni wódką, nie oddali na głos dzwonka należnej czci Bogu a nawet żaden z nich nie uklęknął — z wyjątkiem jednego skrzypka, który wyszedł wówczas na pole i ukląkł na jedno kolano. Zauważył to przejeżdżający ksiądz i zaklął: „Bodaj się już raz zapadła ta przeklęta karczma" i pojechał dalej.

Jakież było jego zdziwienie, gdy w parę chwil, wracając od chorego, nie spostrzegł ani znaku z karczmy, zapadła się bowiem wraz z całem weselem i nikt nie ocalał prócz owego skrzypka, a na jej miejscu pozostały tylko dwa otwory, do wnętrza ziemi prowadzące, z których wydobywały się przez długi czas jęki, podobne do śpiewów weselnych a nawet słyszano i grającą muzykę. Z zapadniętej zaś karczmy miało wypływać podziemnym kanałem stado kaczek, w miejscu, do dziś zwanem „Kaczyniec".

Później, pastuchy pasący tam bydło, wrzucali do owych otworów kamienie, kawałki drzewa itp., a gdy raz z psoty wrzucił jeden pastuch drugiemu czapkę do owego otworu, to wyrzuciło mu coś czapkę z powrotem, pełną złotych pieniędzy. Starano się różnymi sposobami otwory te zasypać — jednak nie potrafiono, aż same wreszcie się zasypały.

Byłem również osobiście na tem legendarnem miejscu, nic jednak nie zauważyłem, oprócz dwóch nieznacznych wklęsłości w ziemi, powstałych prawdopodobnie z wyschniętych zbiorników wody deszczowej, dla pojenia bydła na pastwisku, śpiewów zaś i muzyki podobno już dziś nie słychać, mimo, że „karnawał", a miejsce to nosi po dziś dzień nazwę „piekło".

Piotr Wenc.



Maciek Bzdura gada:

Wkiejsik ześliśwa się z Bartkiem Gwizdałą kole Wawrzkowej stodoły i zacęliśmy tak gadu o tem i o owem. A wiadomo, że jak cłek nima o cem gadać, to wtedy nawięcej gada. Jakby kto nie wierzył, to trza mu było być w niedzielę w Psiej Wólce, jak jakisik zaganiac kandydata na posła plótł trzy po trzy przez dwie godziny, a sam nie wiedział, co powiada, i inksi nic takze z tego nie wiedzieli. Tak i my z Bartkiem nie mieliśmy o cem gadać, tośmy tez gadali nieomal całą godzinę. Co prawda to z Bartka okrutecnie ciekawe chłopisko i chciałby wszyćko wiedzieć nicem jaki prefesur.

— Idź ty głupi — padam mu — to nawet moja gospodyni, co potrafi od świtu do nocy bajdurzyć, jesce wszyćkiego na świecie nie wie, a tybyś makolągwo chciał wszyćko wiedzieć?

— Wszyćko nie wszyćko — on mi na to — ale co niektóre, waźniejse, nie zaskodziłoby i nikogoby bez to brzuch nie bolał. Bo wis, na ten przykład, tyle ludzie gadają o scęściu, a ja do dzisiaj nie wiem, co to jest takiego. Bo ino uwaz sobie dokumentnie! Jak duzo ludzi we wsi chorzeje, to powiadają, ze we wsi jest niescęście i zły rok na nich. A jak nietylko chorują, ale jesce i umierają, to nie nazwą tego niescęściem doktory, nie nazwą jegomość, organista cy grόbarz, nie nazwie tego niescęściem, ten, co trumny z descułek struga, ale westchnie se po krześcijańsku i powie: „Chwała Bogu! Dobry rok miałem!“

— Albo jak się chłopy zacną precesować — gadał Bartek dalej — i za łby włόcyć, to mówią ludzie, ze spadło na nich niescęście. A wtedy hadukaty zacirają kikuty z radości, i padają: Co to za scęście!

— Prawdę powiadas — ja mu na to — bo ono rychtyk tak jest.

— Abo jak do karcmiska chodzi duzo ludzi — powiadał Bartek dalej, to jegomość z turbacje załamują ręce i omal krwawemi łzami nie płacą, powiadając, ze w gminie takie niescęście, jaze strach, a za to znowu Mosiek powiada co uno jest takie porządne scęście!

— Prawdziusieńka prawda — ja mu na to — bo przecie kuzden wie, ze co prawda, to prawda!

A Bartek tak dalej peda:

— Oto idą teraz wybory i jak gdzie w którem okręgu wybierą jakiego ocajdusę, to on se powie: Miałem prawdziwe scęście! Ale ilez to wtedy ludzi ućciwych i mądrych ze smutkiem pokiwa głową i rzeknie: Niescęśliwa ta Polska, kiedy jej synowie nie mają we łbie oleju ino plewy i takiego psubrata wybrali! — I tak zawse i wszędzie i na kuzdem kroku co jeden nazywa niescęściem, to drugi to samo scęśliwością zowie, a ja tego nijak wyrozumieć nie mogę, taj i tyle!

— A bo to trudna rzec zrozumieć — ja mu na to. — La kuzdego cłeka jest to scęściem, cego on chce. Jak mu się to stanie, to on znowu w ocy mnieniu chce cego inksego i bez to nigdy na świecie scęścia za ogon nie złapał. Azeby to ludzie mieli choć chcenie ino potrzebnych rzecy, toby ta jesce usło. Ale im się zachciwa casami takich bzdurstw, ze ino się śmiać z nich trzeba. Mój gospodarz na ten przykład padają, zeby byli dopiro wtencas scęśliwi, jakby jem gospodyni przestali cały dzień trajkotać nad usami. A jakze gospodyni mają przestać, kiedy to la nich jedyne scęście i ukontentowanie. Bo przecie wiadomo, ze jak baba nie gada, to się jej gęba rozsycha i gotowaby lada dzień do cna popękać. La Kaśki byłoby scęście, gdyby się jej jaki źgac trafił, któregoby mogła za kudły wodzić, ale wtedy byłoby to prawdziwe niescęście la tego niescęśnika. Abo i co do mnie! Jabym się cuł tak naprawdę scęśliwy, gdybym se mógł choć raz w zyciu po krześcijańsku pojeść, ale wtencas moja gospodyni na taki przytrafunek zemdleliby z załości, zem ich tak okrutecnie poskodował! I jak z tego chyba dokumetnie wyrozumis, to nima takiego scęścia coby ono było la wszystkich scęściem, a co nie jest la wszyćkich scęściem, to nie jest to prawdziwem scęściem, cyli ze nima prawdziwego scęścia na świecie.

— A poco więc ludzie o scęściu pletą — powiada Bartek.

— Bo jem się tak podoba — ja mu na to. — A zreştą, o cemzeby gadali?



Noc na wsi.

Noc czarną szatą otuliła ziemię
A księżyc tarczą na lazurze świeci,
Wokoło gwiazdek migotliwe plemię,
Niepewne blaski z oczu swoich nieci.

Świat się otulił kożuchem puszystym
I śpi. — A do snu kołyszą go drzewa...
Czasem wicher przeleci nad bór gołolistny
I pieśń mu rzewną jednaką zaśpiewa...

Pusto i cicho, na ziemi i w duszy...
Zda się, że jesteś w dwu wielkich ogromach
I patrzysz czy cię gwiezdny lazur skruszy...
Czy śnieg ukryje w swych puszystych łonach.

I płyniesz z duszą z wiatrem w inne kraje —
Różne sny snujesz na przędziwie marzeń
Miniona droga przed okiem ci staje
Gubisz się w nocy, wśród życiowych zdarzeń.

A słońce nocne jasne blaski sieje.
Świat tajemniczy jak baśń wymarzona...
Dusza się twoja do tej nocki śmieje,
Ciemność i smutek gdzieś wśród blasków kona.

W chatach — czytając — wieśniacze postacie —
Ponad zło, górę dobra wzięła wola.
W każdej ubogiej czy bogatej chacie,
Jak księżyc, świeci pośród nocy »Rola«.

Barnaś Kazimierz.

JAZDA NA NARTACH.

Ludzie uprzyjemniają sobie życie, jak mogą. Latem tak wieśniacy, jak i mieszczanie zażywają przyjemnej kąpieli w nurtach rzek i stawów. Mieszkańcy miast wyjeżdżają na letniska, aby wśród gór lub w cieniu drzew odpocząć po całorocznej ciężkiej pracy umysłowej i rozkoszować się świeżem powietrzem, którego tak bardzo w czasie długich zimowych miesięcy pragną. Wielu czeka z upragnieniem tego ciepłego lata i owego upragnionego wypoczynku. Boć dla biedniejszych zima nie jest matką, ale srogą i nielitościwą macochą. Bogatsi mają i w zimie dość rozrywek. Ot weźmy na przykład taką sannę. Jakaż to rozkosz mknąć po ubitej drodze z wichrami w zawody parą ognistych rumaków! Gdy innym mróz pod piąte żebro się dobiera, człowiek zamożny drwi z zimna, a otulony w ciepłe baranice rozkoszuje się tem, od czego inni drżą pokuleni. A kto nie ma koni, lub nie chce się udać na dłuższą przejażdżkę, przymocowuje do nóg łyżwy i buja sobie swobodnie po kryształowej tafli lodu. A jeszcze inni puszczają się po puszystym śniegu na nartach, jak to właśnie widzimy na naszym obrazku. Jazda to nadzwyczaj przyjemna, ale wymaga wiele wprawy, gdyż w przeciwnym razie może ona spowodować więcej kłopotu niż przyjemności. W każdym razie należy ona do sportu bardzo przyjemnego i bardzo zdrowego.



LUDWIK ST. UNSING.

Wskrzeszenie Łazarza.

VIII.

Co rano o wschodzie w pracowni młodego mistrza pojawiały się świeże kwiaty i słodkie pozdrowienia, umieszczone na woskowej tabliczce. Co rano też odświeżało się jego szczęście, z którym dzień cały pracował, pieszcząc w myśli przedmiot swej miłości.

A gdy już zmierzch zapadł, z utęsknieniem oczekiwała go piękna Zara już nie pełna rozpaczy i lękliwa o życie rodzica, ale rozpromieniona, swobodna i wierząca słowom kochanego mistrza, którego postać, rozum i charakter potężny w niej urok budziły.

I płynęły rozkoszne gwary wśród ciszy wieczoru, nigdy nie wyczerpane jak źródło górskie... serdeczne, a przeciągające się do późna. W końcu wracał mistrz do portyku pełen czaru i zasypiał z uśmiechem ogromnego szczęścia, a skoro o świcie przecierał swe oczy, już witały go świeże kwiaty, świeże pozdrowienia... I tak mijały dnie uroczo, jakby nie na świecie, ale hen gdzieś w zaświetnym Edenie, kędy panuje rozkosz i rozkosz bez granic. Czekali tylko, rychło luby Chrystus wszechwładnem swem słowem usunie niemoc chorego tetrarchy i połączy ich ze sobą na zawsze...

Ale nadeszły dni próby.

Przez piaski syryjskiej puszczy, świadom swej wiedzy, a zarazem ogromnej nagrody, zdążał znakomity lekarz Ben-Nah z Antjochji, którego natychmiast za przybyciem do Jeruzalem zawiedziono do łoża chorego.

Zara i mistrz jedną ożywieni wiarą, nie przypisywali wprawdzie znaczenia zabiegom Antjochijczyka, albowiem rzekł był Chrystus: „Żaden go lekarz krom mnie nie uleczy". Ale, że ogłoszenia tetrarchy do tej pory jeszcze nie zniesiono, przeto ufającym w swe siły terapeutom ciągle jeszcze dozwalano próbować. Krótko mówiąc, po kilkudniowem badaniu, okazał się Ben-Nah pogromcą choroby i wróżył starcowi zupełny powrót do zdrowia.

Ośmielony powodzeniem, a nadto świadom punktów ogłoszenia, począł przyglądać się uroczej Zarze, jako przyszłej swej własności, okiem tryufatora. Później, w miarę wzrastającej pewności, przemawiał do niej czułymi wyrazy... mówił o złotym pałacu, jaki dla niej wybudować każe nad brzegiem Orontesu, kędy ciągną się urocze gaje palmowe, które upiększy jeszcze cudami świata... wszak pewny jest zwycięstwa...

Łatwo pojąć, że w duszy budowniczego rodzić się począł niepokój. Wprawdzie kwiaty i pozdrowienia zjawiały się dalej co rano, zaczem świadczyły o niezmienności jej uczuć; ale jeśli Ben-Nah dokaże cudu, w istocie Zara nie cofnie swego przyrzeczenia. Czuł to młody mistrz znając prawy jej charakter, ale że ciągle jeszcze wierzył słowom Proroka, ożywiała go nadzieja, że chwilowe powodzenie lekarza inny poweźmie obrót.

Jednakże stało się inaczej.

Dnia pewnego orzekł lekarz, że zdrowie tetrarchy jest niemal zupełne, potrzeba tylko, aby okres rekonwalescencji przebył u siebie w Kafarnaum nad morzem Galilejskiem, gdzie ostrzejsze powietrze, już bez użycia lekarstw, zbawiennie podziała...

Jakoż posłuszna radzie światłego Antjochijczyka, zarządziła Zara powrót nad morze, a w kilka dni potem wyruszono w drogę. Żegnając młodego mistrza, miała łzy w oczach, on zaś był blady, drżący, zrozpaczony, niezdolny do wypowiedzenia ni jednego słowa.

A gdy już karawana tetrarchy znikła za wzgórzami, runął w duszy Łazarza cały gmach nadziei, z którego nic nie pozostało, krom żrącej rozpaczy.

Nie mogąc usiedzieć w ciasnych już dla siebie marmurach pałacu, gdzie każdy kąt przypominał mu utraconą radość; szukał spokoju w zaułkach Jerozolimy, kędy się włóczył dni kilka bez przerwy.

Tymczasem ze Sjonu wyszła wieść, że mistrz Łazarz targnął się buntowniczo na powagę arcykapłana a przeto nie jest godnym pracować w świątyni, ani godnym jest nosić prawowite imię synów Izraela. — Oto co cierpieć muszę dla Ciebie Chrystusie, a Ty czemuś mnie pogrążył w rozpacz, czemuś mnie oszukał? Załim Cię nie miłował, zalim Ci nie ufał? A Ty wichry wzbudziłeś w mej duszy, pozbawiłeś spokoju i oddałeś poganom to, coś mnie zrabował!



Łazarz padł zemdlony przed sędzią.

Były to wyrazy nieutulonego żalu, które stopniowo przybierać poczęły groźniejsze formy. Bezustanna gorycz, zaciemniająca zrazu umysłowe władze, wyczerpywała stopniowo i siły ustroju: Mizerniał i żółkniał, nie jadł, nie sypiał i tak powoli zamieniał się w niedołężnego harłęgę. W końcu życie poczęło mu cięższyć, zapragnął rozstać się z niem i zakończyć swe tortury. Z pośród tysiąca planów, nawinął się jeden: pójdzie do sędziego Zarabatela sprawdzi klątwę Sanhedrynu — niechaj go potem przykują do wiosła na galerze. Nie zastanawiając się dłużej, bez śladu wahania wszedł w park, będący własnością sędziego. Zaiste, w innych okolicznościach nie byłby tu zawędrował, wszak sędzia był serdecznym przyjacielem syna Setha, z którym wspólnie załatwiał niegodziwe interesa; był dwulicowym obłudnikiem, chciwym władzy i pogardy godnym gnębicielem. Ale mocno nadużyte siły umysłu niezdolne były wydać z siebie krytycznej rozwagi...

W środku parku stała willa w greckim stylu, otoczona cienistym portykiem, gdzie zażywając spokoju po troskach urzędowych, spoczywał sędzia Zarabatel. Był to człowiek wysoki, w średnim wieku, obojętnej powierzchowności, ale pochopny do zuchwałych przedsięwzięć, za czem przemawiało niezmiernie bystre a pewne spojrzenie i zawzięta energja. Był w krótkiej szkarłatnej tunice obramowanej złotem, z ramion spływała mu biała toga, również złotem ramowana.

Śledcze spojrzenie sędziego utonęło w postaci przygnębionego mistrza z niejakiem zadowoleniem. Cóż mogło go doń sprowadzić jeśli nie obawa przed następstwem klątwy, żal za straconą winnicą, togą Sanhedrynu i uroczą Miras, przeznaczoną mu na małżonkę. Cóż jeśli nie to złamało dumę butnego młodzieńca i bladością pokryło mu lica? Hm, synu Setha, znowu zwyciężyliśmy!

Za chwilę miał stanąć przed nim budowniczy, jeszcze tylko kilka schodów odeń go dzieliło. Kamienna obojętność pokryła twarz jurysty, taka sama z jaką się zwykło przyjmować niewolników lub ludzi ubogich, ale w duszy paliła go radość niedostrzegalna dla oka ludzkiego. Wszakże za chwilę usłyszy głos prośby: Miej litość sędzio! Bądź pośrednikiem między mną a synem Setha. Cofnijcie klątwę, dajcie mi Miras, winnicę i togę taką srebrzystą jak na twych ramionach!

Jakoż zbliżył się budowniczy, lecz zaledwie wyszeptał zwykłe pozdrowienie, owładnęła go niemoc, zachwiał się i padł zemdlony u stóp Zarabatela.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jej syn.

Kartka z życia.

Przyszła ogorzała promieniami słońca letniego z pola. Dała dzieciom obiad w sieni, a sama usiadła z miską polewki, na przyzbie przed chatą. Lecz zamiast jeść, mimo, że głód jej dokuczał, jakoś się dziwnie zasmuciła i zadumała. Jakieś złe uczucia, obrazy kręciły się w jej głowie, jakaś senność, ciężkość sercem jej owładnęła. A wszystko pod wpływem tego snu jaki w nocy miała. Co znaczyć będzie ten nóż, którym jakiś żyd zamiast krowę pchnął ją w pierś, co znaczyć będzie to okrwawione mięso, które we śnie widziała, ten jakiś tajemniczy ruch, ucztę. Była jak „nieswoja“, drażnił ją śmiech dzieci jedzących obiad w sieni, zestrofowała je za to ostro, i przez myśl przeszedł jej on, on jej syn, Janek najstarszy z rodzeństwa, chluba jej i duma, cała jej przyszłość i nadzieja. Żeby tak on żył, mąż — ale cóż poszedł na wojnę i zginął bez wieści, ani słuchu ani śladu. Tylko on Janek został, pilny chłopiec — żeby tylko się nie popsuł, albo co złego z nim się nie stało. A popsuć się może, ot taki Wicek konduktora, taki Leon leśniczego, i inni, którzy śmiali się z niego, gdy się modlił, na stancji ,drwili z niego, gdy nie zaczepiał dziewcząt, szydzili, gdy przed profesorem na lekcji stał pokorny „jak baranek“ — przed wilkiem. Nim poszedł do piątej klasy, opowiadał jej o tem — radziła mu co umiała, dodawała otuchy i wiary, zachęcała do dobrego, bo chciała go mieć księdzem, a on sam, zawsze jej o tem mówił, że katecheta lubi go bardzo, że pewno pójdzie na teologję. Cieszyła się nim, a on cieszył się z radości matki. Ale poszedł do piątej. Na półrocznych wakacjach nie mówił matce o swoich kolegach, a na pytanie, czy katecheta go lubi, odpowiedział drwiąco, czego nigdy przedtem nie czynił, że nie musi go lubić i on go o tę miłość nie prosi. To było dla niej bolesnem, było jak ukłuciem szpilką, ale najboleśniejszem to, gdy jej powiedział, że księża nie są nauczycielami Chrystusa, a Kościół skostniałą instytucją. Zlękła się tego, łzy zabłysły w jej oczach, co gdy on spostrzegł, uciekł do ogrodu, zamiast pytać o przyczynę i pocieszyć jak dawniej. Potem dawał jej zawsze jedne i te same odpowiedzi, że przyszłość pokaże czem być może, że świat idzie z postępem, ale się nie cofa, że ksiądz też jest swego rodzaju urzędnikiem.

A może on... — on nie żyje, — jak strzała zatruta uderzyła w myśl, wstrząsnęła całem ciałem... Mimowoli oderwała oczy od ziemi na drogę z miasta. Zbla-

dła jak trup, — zimny dreszcz przeszedł po jej ciele. Drogą szedł listonosz, znała dobrze, nosił jej listy od syna, od męża, zawsze się nim cieszyła, ale dziś sama nie wie co się z nią dzieje. Im listonosz zbliżał się ku niej, tem gwałtowniej biło jej serce. Wreszcie przyszedł, wyjął z torby telegram. Co to? — spytała od zwyczaju. — Telegram, syn umiera, wypadek nagły! — Nagle zdrętwiała, jak drzewo, ale naraz krzyknęła przeraźliwie jak lwica raniona, padła na kolana, porwała się i jak opętana wbiegła do izby. Jezu, Jezu, — on zabity, — umiera, Boże, Boże.

Bądźcie zdrowe, — zwróciła się do dzieci, siedźcie cicho, ja jadę, ja lecę do niego, pilnujcie domu, ja go przywiozę. Jak w pomięszaniu zmysłów, ubierała się, coś pakowała do koszyka i wybiegła z głośnym płaczem na drogę. Gnała jak szalona w jeden daleki punkt wpatrzona. Nie paliło ją słońce południowe, ani nie dolegał kurz, który całymi tumanami na nią spadał i zasypwał jej oczy. Gnała w stronę stacji. Jakie sto kroków dzieliło ją od tej tragicznej maszyny, gdy tu jakby na drwiny jej boleści, zagwizdała złośliwie i ruszyła. Matko! matko, — tędy nie droga, — matka zaczekajta, dwie godziny do drugiej maszyny, — wołano za nią, gdy zaczęła biec wzdłuż toru. Szalona, opętana, mruczeli, którzy na nią spojrzeli. I nie daleko jej było do tego. Jezu, Jezu, jęczała — on nie żyje, o Jezu, Jezu... i pędziła, pędziła, tam, gdzie on legł. Ale im dalej biegła, tem zdawało się, że to nie prawda, że to straszny sen, w takich momentach śmiać się zaczynała, ale raptownie wracała jej świadomość nieszczęścia i stawała się strasznie zmęczoną i bezwładną, ale znowu jakaś siła gnała ją naprzód. Szła środkiem ulicy, potrącała ludzi, skłął ją strasznie jakiś rowerzysta, który dzwonił i dzwonił, ale nareszcie musiał ją ominąć. Zbudziło ją z odrętwienia szeptanie ludzkie, matka, matka, pieszo przyszła... Spojrzała... ale zamiast płaczu gwałtownego, ktoś ją jakby kleszczami ścisnął za gardło i dusił, coś jak ogień piekło ją w sercu... — Tak to ten sam sen, ten sam sztylet, i mięso... dla Boga mięso... to syn jej, syn okrwawiony z wydartym bokiem, wykrzywioną twarzą... Rzuciła się cała na zwłoki... Ciepłe, ciepłe on żyje... Synu mój, mów co się stało... mów, ja do ciebie przyszła... i zaczęła całować jego twarz, oczy, czoło, szarpać za rękę... Sędziowie, świadkowie, milczeli, uszanowali ból matki i czekali co będzie. Naraz to ciało poruszyło się lekko, — chory otworzył oczy i zamknął... Cud, cud, szeptali — matka go wskrzesiła. — Po długiej chwili, dał się słyszeć szept... matka... ma-m... — Wody, wina — krzyczała, on wstanie. Podano wina i wody. Lekko ostrożnie kapała na wargi jego spieczone. Chory pił, pił chciwie, i widocznie dobre mu to było, bo lekki rumieniec oblał jego twarz przelotnie. — Mamo — umieram, mówił. — Matko jam winien, — oni winni... Kazali mi strzelać do niego — oni i ja dostaliśmy złe świadectwa, i oni kazali mi go zabić — ja winien, że ja nie słuchałem ciebie, matko, żem zapominał o Bogu, żem śmiał się z ciebie, coś mi w domu mówiła... — wody... wypił podaną szklankę wody i dalej mówił. — Ja go zabiłem, ja swego profesora, oni kupili broń, oni mnie upoili, oni kazali to zrboić. Słuchacze byli zdumieni. Zaczęto cicho pytać, kto był kolegą leżącego samobójcy, który nie wiadomo z jakiej przyczyny pozbawił się życia. Matko... przebacz... módl się... księdza chcę. Na ten głos, krzyknęła matka — idźcie do doktora, po księdza. Za chwilę przyszedł ksiądz, ten sam z którego on się naśmiewał, ten sam katecheta. Chory otworzył oczy i ruchem przywołał go do siebie. Gdy ksiądz dał znak ludziom, by wyszli, chory zaprzeczył temu — zostańcie wszyscy — mówił — słuchajcie mej spowiedzi, abyście dzieci swoje uchronili od tej zarazy, niewiary i pychy światowej. Byłem matce posłuszny, kochałem ją, wierzyłem w to co Kościół naucza, kochałem Boga i Ojczyznę, ale dopóty, dopóki nie wciągli mnie ci koledzy moi, którzy należeli do tajnego związku wolnomyślicieli. — Oni to mając zkądś fundusze bawili się, używali świata, nauczyli mnie pić, grać w karty, włóczyć się po nocach, naśmiewali się ze mnie, gdym szedł do kościoła, gdym się księdzu kłaniał, gdym matkę szanował. Nazywali mnie zacofanym średniowieczem, — konserwą, burżujem, chamem, tłumaczyli mi teorję Darwina, że człowiek od małpy pochodzi, że niema żadnej władzy, żadnej narodowości, niema Boga, Ojczyzny, jest tylko człowiek samiec i samica. Gdym za zaniedbanie nauki dostał złą klasę od profesora, i oni także, namówili mię, bym razem z nimi rzucał kamieniami w okna jego mieszkania, za karę, którą mnie wymierzył, bym go kulką poczęstował, bo to burżuj i reakcjonista. Przestałem liczyć się z opinją ludzką, sumienie zagłuszyłem w sobie. Ja to chcąc być wśród nich „wybitnym“ podczas przechadzki dyrektora w parku, strzeliłem do niego, raniąc śmiertelnie, a gdy on w tej chwili zawołał pomocy Boga, momentalnie sumienie we mnie się obudziło, zląkłem się sądu i kary, chcąc tego uniknąć, tym samym rewolwerem chciałem pozbawić się życia. I oto moja spowiedź. — Żałuję bardzo, żem nie szedł za twemi wskazówkami matko i twemi księże katechecie, że upadłem tak nisko..., że dałem się wciągnąć w służbę szatana. Boże przebacz, Boże odpuść!... łzy zalały mu oczy, kapłan modlił się nad nim, trzymając hostję świętą, obecni byli wzruszeni. Chory przyjął komunję świętą, i naraz twarz mu się rozjaśniła, przycisnął do ust podany przez matkę obrazek i zamknął oczy... Gdy matka chciała podnieść mu opadłą głowę, już syn jej nie żył... Nie płakała, bo jej łez nie stało — w sercu czuła zadowolenie, czuła, że przybyła na czas, by syn jej z Bogiem się pojednał. O dziesięć lat starszą wlokła się nazajutrz do domu.

Józef Kapuściński.

Tajemnice czarnego kontynentu.

Kraj Sara Dżinge, położony w Afryce na prawym brzegu rzeki Chari, zamieszkały jest przez czarnych, którzy mimo, iż zetknęli się z cywilizacją, zachowali obyczaje ludów dzikich. Strój ich jest więcej jak prymitywny, gdyż składa się wyłącznie z tarczy żelaznej lub miedzianej, zawieszonej na sznurku, uwiązanym w pasie. Natomiast dużą wagę przywiązuje się do fryzury, która jest niezmiernie skomplikowana. Włosy pozwijane są w koki różnego kształtu na czubku głowy, lub pozaplatane w warkocze, po kilka z każdej strony głowy. Często we włosy wplecione są amulety i pierścienie z cennego metalu. Miejscowi ludzie rozróżniają po fryzurze, do jakiego plemienia kto należy.

Czarni żywią się prawie wyłącznie prosem, zastępującym nasz chleb i kartofle. Proso przyrządzane jest przez kobiety, które tłuką je w wielkich moździerzach, dolewają następnie wrzącej wody i otrzy-

mują w ten sposób rodzaj kwaśnego ciasta, które skręca się w kulki i podlewa sosem z traw i pieprzu. Sara-Dżinge są za leniwi, aby polować lub łowić ryby, mięsa więc zupełnie nie jadają, chyba, że zjawiają się biali, polujący na hipopotamy. Przybycie myśliwych witane jest z radością przez ludność, która bardzo lubi mięso gruboskórca. Z prosa też robiony jest rodzaj kwaśnego piwa, zawierającego dużo alkoholu, którego nadużycie sprowadza wielką wesołość.

Zabawy i sporty uprawiane przez Sara-Dżinge, odznaczają się brutalnością. Są to jakby tańce figuralne, ilustrujące wojnę. Przeciwnicy dwóch obozów stają naprzeciwko siebie uzbrojeni w patyki „marangua", w tarcze „gamar", na głowie mają czaska plecione ze słomy. Zabawa polega na wzajemnem biciu się patykami po głowie. Mimo ochrony głowy od silnych uderzeń pękają czaszki, a starzy wojownicy mają mnóstwo blizn. Leczenie ran odbywa się w sposób nader prymitywny. Robi się na czaszce nacięcie, wyjmuje się pogruchotane kostki i zalewa się ranę żółtkiem jajka. Kuracja taka, stosowana przez miejscowych chirurgów, nie wywołuje groźnych komplikacyj, dzięki silnym organizmom czarnych. Białym udało się zainteresować dzikich mniej niebezpieczną zabawą, polegającą na przerzucaniu wielkiej piłki z jednego obozu do drugiego.

Ciekawem jest, że mimo prymitywności obyczajów dzicy mają pewien rodzaj sztuki architektonicznej. Domy ich zakończone są stożkowatą wieżą, ozdobioną harmonijnie wgłębieniami i zaopatrzone w wentylatory zresztą nieskomplikowane, bo będące poprostu dziurą w dachu. Mieszkanie głowy plemienia składa się z kilku domów, otoczonych murem, tworzącym zarazem korytarz. Jedne domy są dla dygnitarzy, drugie dla kobiet i dzieci, inne dla zwierząt domowych, osobne na spiżarnie. Jeden z szefów plemienia ma pałac, składający się z osiemnastu takich domów.

Okropnym wprost jest zwyczaj, polegający na zeszpeceniu kobiet plemienia Sara-Dżinge przez przytwierdzanie do warg krążków drewnianych, dochodzących niekiedy do wielkich rozmiarów. Operację podejmuje zawsze narzeczony za zgodą swojej przyszłej. W tym celu uzbraja się w ostre gałązki rośliny konn-ha, mające 6—7 centymetrów długości. Towarzyszą mu trzej przyjaciele, których obowiązkiem jest trzymać młodą osobę podczas bolesnej operacji. Kolcami tymi przekłuwa jej obie wargi i pozostawia je w ranach. Po kilku dniach, kiedy ból nieco się uśmierzył, zastępuje się kolce deszczułkami z drzewa, które następnie zmienia się na coraz większe, aż dojdą do rozmiarów krążka. Kobieta, która niejednokrotnie przed operacją miała wcale możliwe rysy, staje się potworem, na który nie można patrzeć bez odrazy. Wielkość tych krążków dosięga niekiedy 24 centymetrów średnicy. Wykonanie ich jest dziełem miejscowego „artysty" stolarza. Używa do tego specjalnie lekkkiego drzewa, zwanego „bita". Mimo to krążki są tak ciężkie, że opadają na brodę i szyję. Kiedy kobieta chodzi, krążki uderzają o siebie, wydając charakterystyczny dźwięk. Jedząc musi podtrzymywać podziurawione wargi, mówić zaś jest bardzo trudno. Głos staje się bardzo przykrym, a słowom towarzyszy stale uderzanie krążków. Wszelkie usiłowania Francuzów, którzy rządzą tym krajem, aby znieść barbarzyński zwyczaj, pozostały dotąd bezowocne.

Poradnik gospodarczy.

Kontrola nad nawozami sztucznemi.

Projekt rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej.

Ministerstwo Rolnictwa opracowało i przesłało do uzgodnienia zainteresowanym ministerstwom projekt rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej o sprzedaży nawozów sztucznych, które przewiduje powierzenie ministrowi rolnictwa nadzór nad sprzedażą tych nawozów. Przez „nawozy sztuczne" rozporządzenie rozumie wszelkie produkty, pochodzenia przemysłowego, lub kopalnego, przeznaczone do użyźniania gleby i zawierające azot, fosfor, potas lub wapień. Sprzedaż nawozów sztucznych zarówno krajowych, jak sprowadzanych z zagranicy, będzie się odbywać jedynie zgodnie z następującemi postanowieniami rozporządzenia:

1) w reklamach i wszelkiego rodzaju ogłoszeniach o produktach, sprzedawanych jako nawozy sztuczne, nie wolno używać nazw i określeń, mogących wprowadzić w błąd kupującego co do rodzaju, pochodzenia, lub składu chemicznego tych produktów;

2) każda sprzedaż nawozów sztucznych winna być potwierdzona wystawionym przez sprzedawcę pisemnym dowodem sprzedaży. Dowody sprzedaży wolne są od opłaty stemplowej;

3) oznaczenie przez sprzedawcę zawartej w nawozie sztucznym ilości składników, użytecznych dla roślin, winno odpowiadać rzeczywistej zawartości tych składników;

4) zabrania się sprzedaży nawozów sztucznych, w których zawartość składników użytecznych oraz szkodliwych dla roślin nie odpowiada normom, ustalonym w rozporządzeniach ministra rolnictwa.

Umowy sprzedaży takich nawozów sztucznych będą nieważne. Rozporządzenie przewiduje szereg kar za przekroczenie przepisów w niem zawartych; maksymalna kara wynosi 10.000 zł., z ewentualną zamianą na areszt do 6-u tygodni.

Rozporządzenie powyższe normujące kontrolę ścisłą nad nawozami sztucznemi powitać powinni zwłaszcza drobni rolnicy z wielkiem uznaniem.

Oni to dotychczas byli przeważnie wyzyskiwani przez niesumiennych handlarzy nawozów pomocniczych, gdyż nie kupując wprost we fabryce, a nie umiejąc zapobiedz oszukańczym manipulacjom, często łudząc się jednakowym wyglądem, brali mniej wartościowy nawóz pomocniczy w składniki pokarmowe dla roślin i dziwili się, iż sąsiednie pole dworskie nawożone takim samym nawozem, ale więcej procentowym dawało znacznie większe zyski.

Każdy dziś kupując, będzie wiedział ile jest w nim % składnika użytecznego, bez osobnego badania

w państwowych zakładach, będzie wiedział ile płaci za kilogram czystego tego nawozu, a nie za domieszki.

Gdyż każdy pomocniczy nawóz zawiera w sobie tylko pewną ilość pokarmu potrzebnego dla roślin, czyli tego materjału, który jest użyteczny, a który użyźnia rolę i karmi rośliny. Reszta, to składniki inne, czasem pożyteczne, czasem niepotrzebne, a nawet czasem mogą działać szkodliwie.

Wskutek powyższego rozporządzenia będzie wiedział rolnik co kupuje i czego może się spodziewać, będzie miał przeświadczenie, iż przez kupca nie został oszukany.

Jan Matysik.

Poradnik lekarski.

Brak apetytu. Wiele osób cierpi na brak apetytu, wskutek czego cały organizm ulega zniszczeniu. Niejednokrotnie wzruszenie, zmartwienie, lęk albo strach powodują brak apetytu, głównie jednak występuje on przy wszystkich zachorzeniach, przy których narządy trawienia są naruszone. Istnieją środki pobudzające apetyt, środki — mogące wspierać trawienie, lecz niema środka żadnego, któryby mógł żołądek wzmocnić. Post, ścisła djeta, skutkują najlepiej. — Herbata z tysiącznika i piołunu przyczynia się do wzbudzenia apetytu. Dla dzieci dobrą jest mięta. Najskuteczniejszym jednak środkiem jest wypicie szklanki letniej wody ze solą naczczo.

Krwotok. Krwotokiem jest o ile nie działała zewnętrzna siła, następstwo przegryzienia błony śluzowej żołądka przez ostry sok żołądkowy u osób małokrwistych, przeważnie płci żeńskiej, a więc następstwem krwawienia żołądka; przy krwotoku takim ukazuje się krew czerwona lub ciemno zabarwiona. Przy krwawieniu z płuc wygląda krew jasno-czerwono; jest burzącą i poprzedza kaszel. W niektórych wypadkach daje się krwawienie żołądka od krwawienia płucnego nawet dla rzeczoznawcy ciężko odróżnić. Przy krwotoku jako i przy kaszleniu krwią, powinien chory stosownie do siły zaszłego krwawienia, parę dni pozostać w łóżku. Przy krwotoku robi się zimne okłady na żołądek. Przeciw pragnieniu najlepszą jest woda cytrynowa pita łykami i zimne mleko. Skłonność do wymiotów lub kaszlenie krwią należy stłumiać. Przy często powtarzającem się pluciu krwią, zaleca się podwiązać środek ramion i ud, przez to bowiem staje się krwiobieg powolniejszy i dopływ krwi do płuc się zmniejsza.

Krwawienia nosa. Często jest ono tylko dążeniem leczniczem natury, aby zapobiedz nabiegowi krwi do głowy, lecz również jest także objawem towarzyszącym w wielu chorobach febrycznych. — Leczenie: Wciąganie nosem zimnej wody octowej (jedna trzecia część octu, dwie trzecie części wody) zimne, ciekącomokre kompresy na czoło; powtarzać podnoszenie ramion z wstrzymywaniem oddechu. — Dla powstrzymania krwawienia, bierze się gorącą kąpiel nożną. — Wdychanie gorącej pary lub gorące okłady na nos i okolicę nosa. Dobra jest również herbata z tasznika.

Ból zębów. Przyczyną bólu zębów są przeważnie miejscowe zapalenia (kość zębowa, ośrodek, korzeń), czego uniknąć można zapomocą uregulowanego pielęgnowania zębów. Nerwowy ból może być usunięty lub złagodzony przez wstrzymywanie oddechu. Prócz tego skuteczne są w ciężkich wypadkach natury nerwowej magnetyczne pociągnięcia i sugiestja hipnotyczna.

KRONIKA.

Udaremniona ucieczka bandytów. Z Biecza donoszą: Dwaj notoryczni bandyci Bajorek i Jaworski, zbiegłszy z więzienia w Tarnowie i dobrawszy sobie wspólników, rozpoczęli grasować w powiecie gorlickim, gdzie w przeciągu niespełna miesiąca popełnili trzy rabunki i kilkanaście większych kradzieży. Zarządzona obława przyniosła w tych dniach pożądane rezultaty. Całą szajkę zlikwidowano, aresztując 10 osobników z Bajorkiem i Jaworskim na czele. Zaraz pierwszej nocy po aresztowaniu, prowodyrzy szajki, mimo, że byli zakuci w kajdany, usiłowali zbiec z aresztów w Bieczu. Zdołali przepiłować już kraty, lecz na szczęście policja udaremniła zamiar, aresztując kilku opryszków, którzy dostarczyli bandytom piłek i „angielskich włosów“ do przepiłowania krat. Ludność powiatu gorlickiego z ulgą odetchnęła.

Mord rabunkowy. Wojewódzka komenda policji w Stanisławowie została zaalarmowana wieścią o bestjalskim mordzie rabunkowym, jaki miał miejsce na terenie tego okręgu. Mianowicie drogą między Doliną a Nowosielicą powracał do domu Ilko Darwaj, reemigrant z Ameryki, wioząc ze sobą sporą sumę pieniędzy. Razem z nim odbywały podróż jego żona i córka. Wszyscy szli spokojnie i nie przeczuwali niczego. W pewnym momencie z lasu wypadł jakiś bandyta, prawdopodobnie z całym z góry obmyślonym planem. Osobnik ów momentalnie ubezwładnił Darwaja i strzelił doń kilkakrotnie z rewolweru, kładąc go trupem na miejscu.



Następnie skierował lufę do nadchodzącego jakiegoś mężczyzny, który przestraszony uciekł. Dalsze strzały skierował do kobiet raniąc je bardzo ciężko w głowę. Następnie obrabował ofiary ze wszystkich pieniędzy i zbiegł. Cały ohydny mord rabunkowy dokonany został w ciągu kilkunastu sekund. Na krzyk ciężko rannych zbiegli się ludzie, którzy udzielili im pierwszej pomocy. Darwaj skonał na miejscu, nie zdołano go odratować. Policja prowadzi energiczne śledztwo i — jak nas w ostatniej chwili informują — jest już na tropie mordercy.

Tragedja na policji. Na terenie województwa stanisławowskiego zaszedł tragiczny wypadek w tamtejszych oddziałach policji. Onegdaj o godzinie 8 rano, jak donoszą z Bohorodczan, do lokalu powiatowej komendy policji wszedł posterunkowy Bolesław Pająk i nie mówiąc słowa oddał kilka strzałów rewolwerowych, kładąc trupem na miejscu starszego przodownika Feliksa Szeligowskiego, przodownika Mieczysława Sobolewskiego i następnie kierując lufę w swoją skroń. Na miejscu pozostały trzy trupy. Posterunkowy Bolesław Pająk przydzielony był do posterunku policji w Żurakach i kilka dni temu ukarany został za przekroczenie dyscyplinarnie 7-dniowym aresztem. Ten błahy powód służbowy

stał się powodem tragicznej śmierci dwóch funkcjonarjuszy policji i samobójstwa jego samego.

Na dnie studni. Z Gniezna donoszą: Dawno nie zanotowaną w kronice policyjnaj zbrodnię popełnił niejaki R. K. w Wiewiórczynie, w powiecie żnińskim. Mianowicie K., który na zabój zakochał się w córce gospodarza M., spostrzegł, iż dziewczyna od paru dni zaczyna go zdradzać. Zawiedziony kochanek uplanował zemstę. Pewnego dnia wieczorem wyprowadził dziewczynę w pole pod pozorem rozmówienia się z nią i w pewnej chwili, chwyciwszy bezbronną, wrzucił ją do głębokiej na kilkanaście metrów suchej studni, poczem spokojnie odszedł do domu. Zaczęła się straszliwa męka nieszczęśliwej, która nie mogła żadnej spodziewać się pomocy, ponieważ wysokość studni wykluczała absolutnie możliwość usłyszenia przez kogoś wołania o ratunek, temwięcej, że studnia leży daleko w polu, gdzie o tej porze roku nikt nie przebywa. Tymczasem we wsi zauważono nieobecność dziewczyny i rozpoczęto poszukiwania, gdy jednak w ciągu kilku dni nie zostały one uwieńczone pomyślnym rezultatem, pomiędzy ludźmi zaczęła krążyć pogłoska, iż dziewczynę uprowadzili handlarze żywym towarem. Dopiero w dziewiątym dniu, prosty przypadek sprowadził wyjaśnienie sprawy. Oto chłopcy wiejscy, bawiąc się w pobliżu studni, usłyszeli słabe jęki, wydobywające się z głębi. Powiadomieni o tem wieśniacy, przybywszy na miejsce, wydobyli dziewczynę, wyschniętą na szkielet, ale która dawała jeszcze słabe znaki życia. Poddana troskliwej opiece lekarskiej nieszczęśliwa wraca powoli do zdrowia. Sprawca ohydnej zbrodni zdołał zbiec i wszelkie próby ujęcia go dotąd spełzły na niczem.

Urlop z tamtego świata. Z Pragi donoszą: Do pewnej samotnej staruszki, zamieszkałej w gminie Korytna koło Ungwaru, przybył jakiś oszust, który oświadczył jej, że w czasie wojny padł na froncie razem z jej synem i obecnie mieszka wspólnie z nim w raju. Ponieważ jednak zatęsknił za pozostawioną na ziemi rodziną, więc wyrobił sobie krótki urlop z tamtego świata. Taki urlop jest jednak rzeczą dosyć wyjątkową, a syn staruszki mógłby go również otrzymać, o ileby rozporządzał kwotą 300 koron czeskich na koszta podróży. Łatwowierna kobiecina wręczyła bezczelnemu oszustowi 300 koron i dopiero potem sąsiadki wytłumaczyły jej, że padła ofiarą wyłudzenia.

Osobliwe polowanie. Liczna publiczność znajdująca się w godzinach południowych na ulubionem miejscu spacerowem Budapesztu, Wybrzeżu Naddunajskiem, była świadkiem niezwykłego wydarzenia. Oto w pewnej chwili dostrzeżono płynącą po rzece bryłę lodu, a na niej wilka. Naprzeciw wyspy św. Małgorzaty wilk pomknął schodami, prowadzącemi od rzeki na wybrzeże, niecąc szalony popłoch wśród spacerowiczów. Policjanci puścili się w pogoń za zwierzęciem, dając doń kilkanaście strzałów, które wszystkie chybiały. Oszalałe z przerażenia zwierzę wpadło do bramy sąsiadującej z popularną kawiarnią „Hungaria“, tam otoczyli je policjanci i położyli trupem. Jak się okazało, drapieżny wilk okazał się psem, wilczurem, który zabłądził w okolicach stolicy węgierskiej i odbył drogę powrotną na krze lodowej.

Straszliwa zemsta wzgardzonego wielbiciela. Z Paryża donoszą: Onegdaj p. Elvira Gunard zaalarmowała komisarjat policyjny przy rue Maubert w Paryżu, prosząc o natychmiastową interwencję. Powodem alarmu był fakt, iż pod drzwiami mieszkania panny Elwiry zebrała się z całego Paryża olbrzymia zbita armja kotów, która rozpoczęła przeraźliwy, ogłuszający koncert. Zdenerwowani mieszkańcy sąsiednich ulic, uważając biedną p. Elwirę za czarownicę, zagrozili jej samosądem. Na domiar złego, odrzucony wielbibiel p. Elwiry, farmaceuta p. Jacques Pigeon, zamieszkały naprzeciwko, wychylił głowę przez okno i rozpoczął śmiać się szyderczo na całą ulicę. Z komisarjatu wysłano oczywiście natychmiast policjanta, który stwierdził naocznie prawdziwość relacji p. Elwiry. Setki kotów, miauczących w niebogłosy, zaległo zwartą masą ulicę, bramę domu i schody. Policjant wezwał pomocy straży pożarnej, która przybyła z sikawkami. Po długiej uciążliwej pracy, przy pomocy strumieni wody, udało się rozpędzić wrzeszczącą armję kocią. Policja przeprowadziwszy śledztwo, stwierdziła, iż powodem całej awantury jest p. Pigeon, który posiada jakiś płyn, którym polewa ulicę i klatkę schodową domu ukochanej. Płyn ten zaś ma szczególną własność zwabiania kotów. Takiemi to środkami usiłował niecny pan Pigeon złamać opór niezłomnej Elwiry i uzyskać jej zgodę na małżeństwo.

Jak znaleźć szczęśliwą liczbę. Jak donoszą z Paryża, najnowszą panującą tam manją jest wyszukiwanie sobie szczęśliwej liczby. Liczba ta ma zapewnić stałe powodzenie osobom, które poznawszy ją, będą obierali ją przy wszelkich poczynaniach i t. p. Gorliwi poszukiwacze stosują się przy tem do formułki magicznej, opublikowanej niedawno przez pewnego badacza wiedzy tajemnej z autentycznych średniowiecznych dzieł astrologicznych. Wedle formułki tej, aby wyszukać liczbę szczęśliwą, należy wynotować liczby dnia, miesiąca i roku urodzenia, dodać je, poczem dodać cyfry pojedyncze sumy, i na końcu jeszcze raz dodać cyfry tej nowej sumy. Uzyskana liczba będzie liczbą szczęśliwą. Aby zatem wyszukać liczbę szczęśliwą kogoś, kto urodził się naprzykład 22 lipca 1884 r., należy wypisać liczby 22, 7 i 1884, dodać je, a następnie uzyskawszy sumę 1913, dodać pojedyncze cyfry 1+9+1+3. Uzyskawszy 14, należy jeszcze raz dodać cyfry tej sumy 1+4, a uzyskana cyfra 5 będzie szczęśliwą liczbą. — A może metoda ta okazałaby się praktyczną przy nadchodzących wyborach dla niezdecydowanych, na którą listę głosować?

O damie, która lubiła ocet. W Londynie umarła teraz staruszka-miljonerka, niejaka Shrewsburg. Lekarze oświadczyli, że bezpośrednią przyczyną jej zgonu była namiętność bardzo niecodzienna, bo staruszka w ciągu całego swego życia wchłaniała w siebie olbrzymie ilości octu. Ta namiętność w stosunku do octu rosła u niej stale do tego stopnia, że ostatnio wypijała dziennie conajmniej półtora litra. Wskutek tej namiętności Shrewsburg ciągle traciła na wadze i doszła z 55 kilogramów do siedmnastu. Organizm staruszki nie mógł już wytrzymać tego nadzwyczajnego wychudzania, to też zachorowała z wyraznemi oznakami zatrucia i w kilka dni umarła. Lekarze, którzy ją badali, wyrażają podziw dla sił kobiety, która wypijała od dziesiątkow lat codziennie tyle octu i tak długo żyła. W każdym razie ciepłota jej ciała już od lat była znacznie poniżej normalnej. Krewni i przyjaciele tłomaczyli jej zgubność nałogu, nie mogli jednak jej przekonać i skłonić do wyrzeczenia się octu. Zmarła, wielka przyjaciółka zwierząt, cały swój majątek zapisała londyńskiemu towarzystwu ochrony zwierząt.

Zabawne spotkanie w Londynie. Jednemu z nowobogackich lordów angielskich, niejakiemu p. G. zdarzył się osobliwy wypadek, który jest przedmiotem licznych komentarzy, wprowadzających ludzi w dobry humor. P. buchalter Jansen z Amsterdamu wybrał się na urlop świąteczny do Londynu. Chciał „użyć życia“ i stanął w najwspanialszym londyńskim hotelu „Cecil“, gdzie zameldował się jako książę Jansikow. W hotelu

zrobił znajomość z lordem G. i tak zachwycił magnata angielskiego, iż ten zaprosił go do swego pałacu. W bogatym domu pięknie upływały dnie. Fałszywy książę dobrze jadł, dobrze pił, palił najlepsze cygara, z żalem myślał o powrocie do biura. Gdy pewnego wieczora siedział w wygodnym fotelu, opowiadając gospodarzowi domu okropne przeżycia z bolszewikami, zameldował lokaj przybycie hrabiego Peterjewa. Lord aż wykrzyknął z radości:

— Doskonale się składa, pomówicie panowie o swej ojczyźnie, jest to bowiem również Rosjanin, którego zniszczyli bolszewicy.

Jansikow pobladł z przerażenia. Chciał uciekać, ale było za późno. Hrabia wszedł do salonu. Buchalter podszedł ku niemu i wybełkotał po niemiecku:

— Nie gub mnie pan — nie jestem księciem ani Rosjaninem, pochodzę z Holandji i zrobiłem żart.

Oblicze hrabiego zapłonęło radością,

— I ja jestem Holendrem, nie umiem ani słowa po rosyjsku.

Rodacy rozmawiali swobodnie po holendersku, a lord był rozpromieniony, iż w domu jego zetknęło się dwu rosyjskich arystokratów, którzy, jak twierdził, znali się doskonale z nazwisk,

Zbrodnicze oczy. Na ulicach londyńskich ukazała się dziwna kobieta. Ubrana w modną suknię, przechadzała się zwykle w godzinach południowych w okolicy Picadylly, Trafalgarsquare'u i szła aż do Opactwa Westminsterskiego, znikając potem na jednej z bocznych uliczek nad Tamizą. Zwykle postępowało za nią kilku mężczyzn z posępnie spuszczonemi do ziemi głowami. Ciężkie ich stąpanie i błędne spojrzenia świadczyły, iż są to chore istoty. Długi czas przyglądano się obojętnie temu niesamowitemu towarzystwu, aż wreszcie zainteresował się tym widokiem jeden z członków armji zbawienia. Zagadnął tajemniczą kobietę i, jak sam wyznał, przejął go dziwny dreszcz, gdy spojrzała na niego swemi stalowo-zielonemi oczyma. Zdawało mu się, iż nogi mu drętwieją i niema siły poruszyć się z miejsca. Szczęściem kobieta odwróciła od niego oczy i dalej szła swą drogą. Mr. E. A. Fisher doniósł władzy o dziwnem swem przeżyciu. Dalsze obserwacje dały niezwykły rezultat. Okazało się, iż wytworna dama jest niezwykłą przestępczynią. Nazywa się Alica Partridge, liczy lat 34 i posiada osobliwe zdolności hypnotyzerskie. W ciągu czterech ostatnich lat popełniło z jej powodu samobójstwo trzech mężczyzn, a kilku innych zapadło w ciężką chorobę nerwową. Pani Alicja Patridge żyła kosztem hypnotyzowanych swych ofiar, a wybierała je z pośród samotnych mężczyzn, z którymi nawiązywała znajomości podczas swych codziennych przechadzek po mieście.

Podatek od... zdrowia. Rząd turecki, jak donoszą dzienniki paryskie, zajęty jest opracowywaniem nowej ustawy, wprawadzającej osobliwy podatek. Oto obywatele państwa tureckiego będą, według tej ustawy, płacić 20 procent dodatek od podatków normalnych, ale... dopóki są zdrowi. Dochód z tych opłat zdrowotnych użyty zostanie na budowę szpitali i laboratorjów oraz na należyte naukowe kształcenie lekarzy tureckich. Zdaje się, że takim osobliwym podatkiem, jakkolwiek na cel pożądany wprowadzonym, nie obarczyło jeszcze żadne państwo swoich obywateli.

Najstarszy z młodych żonkosiów. Zaro Agha zachował widać, nie bacząc na swoje 155 „wiosen“. jeszcze bardzo młode serce, skoro postanowił rozwieść się ze zbyt starą dla niego gdyż 65 lat liczącą żoną, by wstąpić ponownie w związki małżeńskie z niespełna 20-letnią obywetelką Konstantynopola. Zaro Agha twierdzi, że sprzykrzyła mu się ta jego zniedołężniała, gadatliwa baba, woli przeto pobrać się z inną, młodszą i więcej jego młodemu temperamentowi odpowiadającą. Ten chyba nigdy już nie będzie pacjentem prof. Woronowa.

Polowanie na lamparty w Ameryce Południowej. Czytając o polowaniach na dziki, zwlaszcza na niedzwiedzie, szczególniej w dawnych czasach, nie możemy powstrzymać się od podziwu dla zimnej krwi wobec niebezpieczeństwa, odwagi i przytomności umysłu naszych przodków. Podróżnicy teraźniejsi, polujący w krajach południowych na lwy i tygrysy budzą również zdumienie swą odwagą. Ale oni posiadają doskonałą broń, kule wybuchające, które trafiwszy dzikie zwierzę, rozrywają mu wnętrzności, zabezpieczać się też umieją na różne sposoby od śmierci ze strony rozjuszonego drapieżnika. Polowanie jednak takie, którego celem byłoby ujęcie dzikiej bestji żywcem. jest im nieznanem. Na podobne łowy odważają się tylko myśliwi Ameryki Południowej, ludzie półdzicy, odważni, zręczni i podstępni w podejściu zwierza.



Obrazek nasz przedstawia łowy na lamparty (zwierzę bardzo drapieżne, mniejsze od tygrysa) w Południowej Ameryce żyjące. Istnieje tam osobny gatunek myśliwych, którzy dla menażerji i cyrków jeżdżących z dzikiemi zwierzętami po świecie, łapią w stepach żywe lamparty. Ująć żywcem tego najdzikszego i najbardziej krwiożerczego z drapieżników, to zaiste czyn, mogący wywołać podziw u najzuchwalszych. Dla łowców południowo-amerykańskich jest to niemal zabawką. Dwójka takich łowców konno w szalonym cwale puszcza się w step, w ojczyznę lampartów. Gdy po drodze spotkają lamparta, naraz jeden z jeźdźców z nieomylną zręcznością rzuca ze świstem przygotowany sznur i chwyta za łeb dziką bestję. Gdy lampart chwycony za powróz, który dławi mu szyję i szarpnięty potężnie, padnie na wznak i zadrze w górę tylne nogi — wówczas z niezachwianą pewnością ręki rzuca swój sznur drugi myśliwy i oplątowuje rozjuszonemu drapieżnikowi tylne łapy. Niebawem straszna bestja zostaje skrępowana i ubezwładniona. Dziki lampart dostaje się do klatki i jedzie koleją do odległych miast.

Mąż panem domu czy żona? W Nowym Jorku żyje małżeństwo nazwiskiem Clemens. Pan Clemens utrzymywał, że trzeba trzymać dobrze żonę „na pasku“, aby było dobrze w domu. Zdaniem jego, twarda ręka mężczyzny w gospodarce małżeńskiej może mieć tylko dobre skutki. Natomiast innego zdania była małżonka p. Clemensa, która nie mogąc go ułagodzić, zbuntowała się przeciw surowemu traktowaniu i wniosła do sądu odpowiednią skargę. W ostatnich dniach odbyła się rozprawą. Oboje małżonkowie wyśpiewali przed sędzią wszystkie bóle. Największym obustronnym zarzutem było, że on wychodzi z domu bez jej pozwolenia, a ona

bez jego. Sędzia Miles, człowiek stateczny i o wyrobionym poglądzie na instytucję małżeństwa, zawyrokował, że „mąż jest panem domu i żona musi go prosić o pozwolenie, jeśli pragnie wyjść z mieszkania“. Wyrok sędziego Milesa powinni wszyscy mężowie szczególnie t. zw. pantoflarze wypisać dużemi literami i powiesić w swem mieszkaniu na widocznem miejscu. A może się odmieni?...

Stracenie Ruth Snyder. Dnia 13 b. m. wykonano w stanie nowojorskim pierwszy wyrok śmierci na kobiecie. Była nią Ruth Snyder, która wraz z kochankiem swym Henrykiem Gray, zamordowała męża. Po wyroku obrońcy jej próbowali wszelkimi środkami odwlec egzekucję, Ponieważ mąż jej zaasekurował się na życie w pewnem towarzystwie asekuracyjnem na sumę 35 tysięcy dolarów, towarzystwo zażądało anulowania umowy; obrońcy pani Snyder domagali się przesłuchania jej jako świadka, przy mającej się w tej kwestji toczyć rozprawie, co byłoby odwlokło wykonanie wyroku. Prokurator generalny stanu nowojorskiego odmówił wszakże tej prośbie, wobec czego przystąpiono do egzekucji Snyder i Graya. Skazana spędziła ostatnie godziny życia w stanie tępego zobojętnienia, z którego dopiero wyrwało ją wezwanie strażników do obcięcia włosów, dla umożliwienia założenia aparatu elektrycznego. Przybrano ją następnie w rodzaj szarej tuniki, poczem, po pożegnaniu z matką przeprowadzono ją do celi stracenia, które nastąpiło o godzinie 11 w nocy. Mimo surowej kontroli dziennikarzy obecnych przy traceniu, którym zakazano fotografować skazaną, udało się jednemu z nich przy pomocy maleńkiego aparaciku zdjąć p. Snyder na krześle elektrycznem. Stracenie jej wywywołało, jak wiadomo, wielkie wzburzenie w Nowym Jorku, w szczególności w organizacjach feministycznych, z pośród których zgłosił się szereg kandydatek do... zastąpienia p. Snyder. Zgłoszenia te były oczywiście z góry skazane na nieuwzględnienie.

Amerykanka, która ogląda świat poraz ostatni. W Europie przebywa obecnie podczas podróży swej dookoła świata studentka amerykańska Carla Hovins. Młoda podróżniczka ogląda świat poraz pierwszy i ostatni, gdyż w najkrótszym czasie grozi jej utrata wzroku. W ubiegłym roku przeszła szczęśliwie ciężki tyfus, lecz w czasie rekonwalescencji okazało się, że nerwy wzrokowe są zaatakowane i wzrok pacjentki powoli lecz stale słabnie. Dzielna Amerykanka pojechała do najlepszego okulisty i poprosiła o bezwzględne wyjawienie jej prawdy o stanie choroby. Okulista po dokładnych badaniach przyszedł do przekonania, że choroba jest nieuleczalna i że policzone są dnie, w których pacjentka może oglądać jeszcze cuda świata. Po takiej konsultacji Amerykanka nie oddała się beznadziejnej rozpaczy i nie chwyciła za rewolwer, jakby to może uczynił niejeden młodzieniec. Wśród krewnych zebrała odpowiednie środki materjalne i ruszyła w podróż dokoła świata, aby jak najwięcej wykorzystać pozostające jej jeszcze dni światła i widziane obrazki utrwalić w duszy, tworząc sobie niby skarbnicę wspomnień na czas wiecznej nocy.

Szczęśliwe miasto. Szczęśliwem zaiste nazwać można miasto, które niema żadnych wydatków budżetowych w związku z czyszczeniem ulic z błota, śniegu i t. p. Miastem takiem jest słynna stolica Mormonów, Salt-Lake-City w Stanach Zjednoczonych. W mieście tem znajduje się wielka liczba naturalnych gorących źródeł, których wodą straż pożarna polewa ulice powodując, że biała szata śnieżna znika w mgnieniu oka, a ulice i chodniki szybko obsychają.

RZECZY CIEKAWE.

Przesądy i gusła w Anglji.

Naród angielski uchodzi ogólnie za sceptyczny, odnoszący się niechętnie do zabobonów i przesądów. Naprawdę rzecz się przedstawia trochę inaczej, jak o tem świadczy proces cyganki Dorry Fines. Przy tej sposobności ukazały się w prasie londyńskiej artykuły, pozwalające wniknąć ciekawie w podziemny nurt życia angielskiego.

Roi się w Londynie od rozmaitych chiromantów, grafologów, kabalarek, jasnowidzów i innych „pośredników“ między człowiekiem a zaświatem. Szczególną sławą cieszy się niejaki Sam Paddy, z pochodzenia Irlandczyk, zamieszkały od dwudziestu kilku lat w stolicy. Paddy przepowiada przyszłość na podstawie różnokolorowych kamyków. Mieszczą się one w białym koszyku. Chcący się dowiedzieć o swej przyszłości miesza kamyki, poczem wysypuje je z koszyka na stół. Kamyki tworzą różnobarwną mozajkę, na podstawie której Paddy ogłasza swoje sławne przepowiednie. Wśród kljentów wróżbity znajdują się nawet członkowie rodziny królewskiej, wybitni politycy, artyści i uczeni. Niedawno entuzjastyczny artykuł o owym Paddym zamieścił Conan Doyle, wódz spirytystów angielskich. Należy dodać, że Paddy jest człowiekiem zamożnym i za porady nie pobiera przymusowego wynagrodzenia. Ewentualne datki zależą od uznania i dobrej woli kljenta.

Bardzo rozpowszechnione są w Londynie rozmaite amulety, talizmany i maskoty. Zwłaszcza wielkiem powodzeniem cieszą się mikroskopijne gołąbki, które nosi się jako broszki, szpilki do krawatów i wisiorki. Ponadto — jak to stwierdził niedawno Burton, prezes Towarzystwa Etnologicznego — noszą Londyńczycy przy sobie małe paczuszki błękitne, zawierające zasuszone łupiny ziemniaków, aby uchronić się przed rozmaitemi przeciwnościami, a zwłaszcza przed nieszczęśliwemi wypadkami i niemiłemi spotkaniami.

Wśród proletarjatu miejskiego panuje przekonanie, że t. zw. „krew smocza“ przywraca miłość niewiernych małżonków czy kochanków. Proszek ten ma zostać spalony podczas snu owej osoby, o którą chodzi. „Krew smocza“ cieszy się także powodzeniem wśród sfer inteligencji, a zwłaszcza wśród kobiet.

Szczęście w interesach ma sprowadzać bardzo „skuteczny“ talizman, składający się z 9 włosów z pod ramienia kobiety rudej. Przyjaźń utrwala wypicie napoju, zgotowanego z szałwji i rumianku.

Te i podobne wierzenia, bardzo w Londynie, a prawdopodobnie i poza jego obrębem rozpowszechnione, oświetlają w ciekawy sposób psychikę Anglików, którzy — jak to widzimy — mimo swej trzeźwości i praktyczności niezmiernie są podatni na rozmaite zabobony, gusła i przesądy.

Najszybszy pociąg na świecie.

Nie biegnie on, jak należałoby spodziewać się, po szynach amerykańskich, lecz we Francji, na przestrzeni pomiędzy Bordeaux a Bayonne. Jest to pociąg elektryczny, przebywający odległość 198-u kilometrów wciągu jednej godziny i 58 minut, co stanowi przeciętną szybkość rekordową 108-u klm. na godzinę. Pomiędzy zaś pociągami o trakcji parowej pierwsze miejsce zajmuje express Paryż-Calais, kursujący z szybkością przeciętną do 94 kilometrów na godzinę.

Na kolejach amerykańskich najwyższą szybkość nie przekracza 82-ch klm. na godzinę na linji New-Jork-Filadelfja.

Lilipuci tum milański.

Pewien zegarmistrz w Courgenay wyciął w drzewie dokładny model tumu milańskiego. Mozolnej pracy dokonał cierpliwy pracownik w ciągu osiemnastu lat, pracując nad dziełem swem ponad 5000 godzin.

Objętość modelu wynosi 5.5 m. długość 1.35 m. i szerokość 0.85 m. Całość złożona jest z 7000 poszczególnych części i posiada 124 wieżyczki oraz 157 okien. Na wykończenie jednego okna potrzeba było 16 godzin pracy. Nadzwyczaj efektownie przdstawia się lilipuci tum wieczorem przy świetle zaistalowanego na wewnątrz oświetlenia elektrycznego.

Pracowitość szczurów.

We Francji miał miejsce następujący wypadek: Ogrodnik zasadził w oddzielnym klombie 200 cebulek tulipanów. Nazajutrz chcąc dodać jeszcze kilka cebulek, potrzebnych do zapełnienia klombu spostrzegł ku swemu przerażeniu, że wszystkie cebulki zniknęły. Doświadczony kolega radził mu poszukać, czy niema czasem w ogrodzie szczurzej nory.

Rzeczywiście, ogrodnik znalazł norę i podczas rozkopywania jej, zabił samicę szczura wraz z jej maleństwami. Kopiąc głębiej, znalazł on na głębokości 60 centymetrów norę, starannie zasłaną sianem i liśćmi i połączone z tym lokalem dwie komory, zawierające wszystkie zaginione 200 cebulek, ułożone systematycznie jedna na drugiej. Były one nawet nieuszkodzone. Ciekawe, że jeden tylko szczur w ciągu jednej nocy zdołał wykonać taką pracę, nie pozostawiając za sobą najmniejszego śladu, a oprócz tego zrównać powierzchnię klombu w sposób, godny najzdolniejszego ogrodnika.

Apetyt ptaków.

Pewien amerykański badacz, który posiada olbrzymią ptaszarnię, pełną rzadkich okazów schwytanych w dżungli, doszedł do wniosku, że ptaki są najżarłoczniejszemi stworzeniami na świecie. Zdaniem jego ptak bez szkody dla zdrowia może spożyć porcję jadła, która waży trzy razy tyle co cały ptaszek. Któż z nas potrafiłby zjeść pareset kilogramów pożywienia. Nawet słonie mniej są żarłoczne od kolibrów. Młody słoń zdoła wprawdzie pochłonąć czterdzieści pięć flaszek kaszy dziennie, ale chudy kommoran z łatwością pożre obiad ważący ośm razy więcej od niego. Namiętny amator mięsa — tygrys — zjada dziennie dziewięć funtów koniny, natomiast malutki mysikrólik dostarcza pisklętom trzydzieści sześć potraw w ciągu godziny, czyli 576 dań dziennie, zaś para muchołówek poddana obserwacji znosiła do gniazda pięćset trzydzieści siedm porcyj jadła. Uwagi owego badacza zapewne rozproszą błędne mniemanie, o powściągliwości ptaszków. Ongiś o gościu, który nie miał apetytu, mawiano: „je jak ptaszek“, teraz będzie się mówić: „jak mało je! zupełnie jak słoń!“

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Kunz Andrzej z Pogwizdowa dla Maćka 3 zł., Anna Zębalska z Nowego Sącza dla Maćka na cygara 80 gr., Zygmunt S. dla Maćka na tabakierkę 1 zł. 50 gr.

Humor obrazkowy.



Nieprzyjemne spotkanie.



Maciejowa: Walentowa oskarża was, że ukradliście cztery kury.

Ignacowa: A to wam podła baba. Przysięgam Bogu, że było ich tylko trzy!

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Maryla „Widz“** w O.: Przesyłamy serdeczne, bardzo serdeczne wyrazy współczucia naszej Przyjaciółce z powodu bolesnej straty. W swojem nieszczęściu niech Pani pamięta o tem, że kogo Pan ukochał, na tego zsyła krzyżyki. Może szczęśliwsi ci, którzy odeszli w pokoju z tego padołu płaczu, od tych, którzy muszą się jeszcze z losem borykać. Wszak prawdziwe szczęście zaczyna się dopiero z chwilą rozłączenia duszy z ciałem. — **Piotr Wenc** Za przesłane utwory serdecznie dziękujemy. Dobre. — **Kazimierz Barnaś** w K.: Nadesłany nam wierszyk zupełnie dobry. — **Jan Gurgula** w B.: Jeżeli się powie osłowi, że jest osłem, to nie będzie to dla niego obrazą; natomiast mógłby się słusznie obrazić, gdyby się go nazwało słowikiem. Trudno też nazwać poprawnem pisaniem, jeżeli kto pisze na przykład tak: „spowodu wijazdu“, „jeji“, albo „miejsca zwrócili uwagę“ i t. p. A przecież są tacy, którzy tak piszą i gdybyśmy im powiedzieli, że dobrze piszą, zrobilibyśmy im temsamem krzywdę. Za prawdę rozsądny człowiek nigdy się nie obraża, owszem rzeczową krytykę przyjmuje zawsze z wdzięcznością. Wszak czytelnicy „Ro-

li" wiedzą, że nie są profesorami uniwersytetu, ale ludźmi pracy fizycznej, więc choć ktoś nie włada tęgo piórem, nie można mu tego brać za złe, ale owszem cieszyć się, że sił swoich i na tem polu próbuje. — **Kółko Rolnicze** w S.: W ubiegłym tygodniu wysłaliśmy i musiała dotychczas dojść. — **Wojciech Żak** w S.: Prenumerata nadeszła, dziękujemy. Numera od N. Roku wysłane. — **Jan Spodnik** w Szczawnicy: Nadeszła odpowiedź Urzędu Poczt, z której wynika, że sprawa inaczej się przedstawia jak Pan w liście opisał. Jednak podnieść tu musimy niesłuszne odrzucenie przekazu pocztowego wypełnionego na konto pocztowe: 406.301 Kraków, gdyż adres taki chyba jest w zupełności wystarczający, a zatem naczelnik urzędu powinien był tak zaadresowany przekaz przyjąć wraz z pieniądzmi. — **Piotr Lampart** w St.: Brakujące numera wszystkim wysłaliśmy. Również pod wskazanymi adresami numera wysłaliśmy. Myśleliśmy, że na rok bieżący liczba prenumeratorów się przepołowi, ale nie jest tak źle. Brak jeszcze coś czterech w miejsce których może nowi wejdą. Serdecznie pozdrawiamy i prosimy o pamięć. — **Piotr Piechowicz** z I.: Wszystkim wysłaliśmy Nr. 3 z czekami, dziękujemy. — **Szymon Mech** w Z.: Za przychylność serdeczne dzięki. Numera pod wskazanym adresem wysłaliśmy i polecamy się nadal. — **Karol Rogala** w N.: Numera z czekami wszystkim posłaliśmy — dziękujemy. Prosimy nadal o pamięć! — **Stanisław Czaja** w Sz.: Serdeczne dzięki za Pańskie starania. Pod wskazanymi adresami wysłaliśmy. O ile Pan tam ma jakie znajomości, to sprawa się powiedzie. Cześć! — **Andrzej Cezrwonka** w G.: Polityki czytelnicy mają zadużo, a z tej mało jest korzyści. Ze świata dajemy więcej wiadomości, aniżeli którekolwiek inne pismo. — **Bronisława Syzdek** w B.: Powieść tę zna wielu z naszych czytelników, gdyż wyszła ona niedawno z druku. Przedruk nowych rzeczy jest wzbroniony. — **Wład. Bulek** w A.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. — **Jan Smyk** w N.: W ubiegły wtorek upłynął termin zgłaszania list państwowych. Do chwili, gdy dajemy numer na maszynę nadeszło z Warszawy, iż zgłoszono ich 25. Zdaje się, że wpłynęło ich jeszcze więcej. Dokładny wykaz podamy w następnym numerze. Termin zgłaszania list okręgowych upływa 4 bm. — **Karol Moskwa** w N.: Jak przypuszczać można, najwięcej głosów skupią na sobie listy wyborcze, noszące numer 1, t. j. lista bloku bezpartyjnego współpracy z rządem.

Giełda pieniężna

Dolary Stanów Zjed.	8·86—8·90	Korony czeskie	26·41—26·35
Funty szterl. . .	43·53—43·64	Franki szwajc.	172·20—172·78
Franki francuskie	35·03—34·94	Liry włoskie .	48·33—48·50

Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę“ w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli“, mogą je otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył „Yoga“).

■ ☆ ☆ ■ Pieniądz.
■ ☆ ☆ ■ Planeta.
■ ☆ ☆ ■ Wełna.
■ ☆ ☆ ■ Czasownik.
■ ☆ ☆ ■ Pseudo litery.
— ☆ ☆ ■ Pytajnik.
■ ☆ ☆ ■ Część okrętu.
■ ☆ ☆ ■ Płyn.
■ ☆ ☆ ■ Znak pożaru.
■ ☆ ☆ ■ Część ciała, wspak.
■ ☆ ☆ ■ Bóg, w jęz. martw.
■ ☆ ☆ ■ Kwiaty.
■ ☆ ☆ ■ Będzie, w jęz obc.
■ ☆ ☆ ■ Ptak.
■ ☆ ☆ ■ „Ząb“
■ ☆ ☆ ■ Charakter wspak.

Litery początkowe czytane z góry na dół, zaś końcowe z dołu do góry dadzą 1) nazwisko, 2) imię i nazwisko dwu laureatów Nobla.

2. Szarady.

(Ułożył Bulek Władysław z O.).

I.

Kto ma na twarzy pierwsze i trzecie
Szpecą go zawsze, najbardziej w lecie,
A gdy myśliwi idą na łowy,
To drugie trzecie biorą od krowy.
A gdy się bardzo napracujecie,
Z pewnością wszystkie ze smakiem zjecie.

II.

Podczas gdy jest trzecie pierwsze,
Zielenią się drugie trzecie.
Całość rośnie wedle drogi
Więc też łatwo odgadniecie.

III.

Pierwsza z drugą czeka nieuczciwych ludzi,
Drugi trzeci w żydach to powagę budzi.
Całość żołnierze zawsze używają,
Czy w spokój czy gdy się na bój wybieraja.

IV.

Pierwszego drugiego potrzeba w więzieniu,
Pierwsza druga czwarta jest u bab w odzie-
[niu.
Pierwsze drugie trzecie są czasu słotnego
Trzecie pierwsze człowiek, kiedy ma coś
[złego.
Gdy się wszystkie zejdą, grają przeraźliwie,
Nawet bardzo głośno, a często fałszywie.

3. Układanka.

(Ułożyła Mila Ko-czyńska).

Niżej podane litery wpisać tak w pola kwadratu, aby utworzyły pięć wyrazów równobrzmiących pionowo i poziomo:

a, a, a, a, a, a, b, e, e, k, k, k, k, n. n, o, o, o, o, o, r, r, r, w, w.

Znaczenie wyrazów: 1. Nazwisko czytane w „Roli“. 1. Podwórze. 3. Potrzebne na zboże. 4. Miejsce dla atletów. 5. Rodzaj kawy.

3. Łamigłówki geograficzne.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W.).

I.

Cerigo, Andros, Delos, Cerigotto, Nikarja, Paros.

Z podanych wyżej nazw wysp, wyjąć po jednej literze i utworzyć państwo do którego te wyspy należą.

II.

Ucayali, Madeira, Jurua, Tapajoz, Rio-Negro, Napo, Ika, Huallaga.

Z podanych nazw rzek wyjąć po jednej literze i utworzyć rzekę główną, do której te wpadają.

4. Łamigłówka literowa.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W.).

B—g w—d—i c—a—n—ą m—ó—k—n— c—a—n—y— m—r—u—z—.

Zamiast kresek wstawić litery tak, ażeby otrzymać znane przysłowie arabskie.

W poprzednim numerze „Roli“ maszyna zniszczyła w części nakładu „Układankę“ Mili Ko-czyńskiej, więc ją dziś powtarzamy.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 5-go lutego b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 3 „Roli“: 1. Logogryf: Panorama Racławicka — Ucieczka Archanioła. 2. Szarady: Wikary — majeranek — Wieliczka — Polewa. 3. Zagadka: Trumna. 4. Przestawianka: „Kto przyjaźni szuka bez wady, Nawet nie błyśnie mu cień jej blady, Nigdy nie zazna przyjaciela, Kto szuka przyjaciela bez wady“. 5. Zadanie matematyczne: 3. 5, 7, 9, 11, 15.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: „Yoga“ i Wł. Marko z K., Piotr Wenc z S. i Jan Stec z B.

Nagrody wylosowali pp.: Piotr Wenc z S. i Jan Stec z B.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Znowu to samo.

W wykwitnej restauracji zajada gość najlepsze rzeczy, wreszcie wzywa właściciela i mówi:

— Sądzę, że mnie pan pamięta? Byłem tu niedawno, zjadłem kolację, a potem... nie mogąc zapłacić... zostałem wyrzucony na ulicę.

Właściciel zakłopotał się wielce i odrzekł pokornie:

— Raczy pan wybaczyć... niemiłe zajście... czasem tak bywa... ale sądzę, że jesteś pan dziś zadowolony?

— Jedzenie było doskonałe, winko wyśmienite, cygara bez zarzutu. Tylko, proszę pana, prosić muszę ponownie o to samo co przedtem.



Obawa.

Pewien zezowaty rzeźnik chciał zabić wołu, którego trzymał pomocnik na postronku. Rzeźnik podniósł topór do ciosu, gdy nagle wrzasnął chłopiec:

— Panie majstrze! Czy pan tam uderzy, gdzie pan patrzy?

— Oczywiście.

— Na miłość boską! W takim razie wolę odejść!

Nemrodzi.

Hozenknopf i Feilchenduft polują w towarzystwie żon. Nagle rozlega się strzał. Hozenknopf krzyczy: — Ty paskudniku, o mały włos nie zabiłeś mojej żony.

Feilchenduft: — Uj, przepraszam. Ale zaco taki gwałt? Czy ja ci zabraniam strzelać do mojej?

Kaprysy kolorów.

— Czy możesz mi objaśnić, dlaczego czarna krowa daje białe mleko, z którego się robi żółte masło.

— Owszem. Z tej samej przyczyny, dla której czarne jagody są czerwone, kiedy są jeszcze zielone.



Pocieszył ojca.

— Tatusiu, obiecałeś mi dwadzieścia złotych, jeżeli przejdę do następnej klasy?

— Tak jest, mój chłopcze.

— Nie martw się więc! Dwadzieścia złotych zostało ci w kieszeni.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 20 stycznia b. r.

Pszenica .	51·00—52·00	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto . .	41·00—42·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	37·00—37·50	Koniczyna nasienn. czer.	360·00—370·00
Jęczmień .	38·00—39·00	Otręby żytnie	28·00—29·00
Łubin żółty	00·00—00·00	Mąka żytnia	60·00—62·00
Fasola biała	44·00—46·00	Mąka pszen.	82·50—81·00
Groch zwyk.	00·00 00·00	Otręby pszen.	22·00—22·50
Siano słodk.	11·00 - 12·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Życzenia na czekach prosimy wypisywać na środkowej części czeku, gdyż tę część otrzymujemy.